

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 9 (22)

WARSZAWA

SOBOTA

3-III-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

MICHAŁ
WALICKI

WSCHÓD I ZACHÓD W SZTUCE RUSI CZERWIEŃSKIEJ

(Uwagi na marginesie Wystawy Sztuki Ukraińskiej w Warszawie)



Portret konny Jagielly
Mal. z Kościoła św. Trójcy w Lublinie

ŚREDNIOWIECZE

I.

Zorganizowana obecnie w salach I. P. S. wystawa (dawnej i współczesnej sztuki ukraińskiej) budząc zrozumiałe zainteresowanie, nasuwa przecież również szereg refleksyj historyczno-filozoficznej nieledwie natury. Materiał użyczonej i dokompletowanej przez Narodowe Muzeum Ukraińskie we Lwowie, reprezentuje niemal wyłącznie ziemie Rusi Czerwieńskiej, a zatem teren na którym rozwijało się na przestrzeni kilku wieków współżycie obu narodów. Topograficzny zakres tej ekspozycji ułatwia polskiemu historykowi sztuki krytyczne jej naświetlenie — jeśli się zważy zwłaszcza, że struktura oraz swoista mechanika procesów kulturalno-artystycznych, obserwowanych na tym odcinku sztuki ruskiej, łączy się jaknajściślej z całokształtem zjawisk występujących w orbicie artystycznego życia czerwonoruskich kresów Rzplitej.

Inwentarz sztuki średniowiecznej na Rusi Czerwieńskiej przedstawia się dość ubogo. W silniejszym jeszcze stopniu, niż da się to zaobserwować na innych ziemiach Polski, stwierdzamy wyłącznie p a r e r g a a r c h e o l o g i c a w miejscu istniejących niegdyś niewątpliwie skończonych kompleksów cywilizacyjnych. I gdyby nie typowość pewnych współczynników, tkwiących w dochoowanych po dziś dzień zabytkach, gdyby nie charakterystyczna, a jakże znamienne morfologia zachowanych pomników materialnej kultury — może zawahalibyśmy się z wydawaniem sądu o tym zniekształconym już dziś w znacznym stopniu obrazie dawnych kultur, jaki mamy wszyscy przed oczyma.

Należy przedewszystkiem zauważyć, że historia sztuki na ziemiach Ukrainnych po-

ucza nas wprawdzie o istnieniu odrębnych całości kulturalnych, jak np. dzielnicy Kijowsko-Czernichowskiej, lub Halicko-Włodzimierskiej, sam wszakże termin „Sztuki Ukraińskiej” w odniesieniu do conajmniej samego średniowiecza zdaje się pozostawać fikcją, mającą być może swe uzasadnienie polityczne, w żadnym wszakże wypadku naukowe. Atrybowanie na rzecz tego terminu np. mozaik kijowskich (jak to uczynił w swoim czasie F. Schmit) przywodzi na myśl genezę terminu „III Renesansu Paleologów”, ukutego w oparciu o specyficzne polityczne sympatie znakomitego skądinąd bizantynisty. Jeżeli po dziś dzień, wśród polskich mediewistów — historyków sztuki panuje przesadna niemal rezerwa w stosunku do terminu „polska sztuka gotycka” zastępowanego najczęściej zwrotem „sztuka gotycka w Polsce” odczuwamy tę tendencję jako wyraz sumiźności naukowej, nie zaś jako „minderwertigkeitsgefühl”. Czy zatem istotnie owe nieliczne ulamki sztuki ruskiej w Polsce są śladami jakiejś wielkiej, zniszczonej po barbarzyńsku kultury artystycznej, której wewnętrzna spoiścieść oraz świadomość zamierzeń formalnych kazalaby w niej widzieć twór krzepki i samorodny, związany organicznie z bio-socjologicznym podłożem i realizujący konsekwentnie swój wyraz narodowy w ramach następujących po sobie generacji? A jeżeli tak — to na ile sztuka ukraińska w jej „polskim” odłamie może być uznana za teren ścierania się artystycznej woli Zachodu i Bizancjum?

Miejmy nadzieję, że mijają już na szczęście te czasy, gdy sprawy narodowościowe omawiała nauka cum ira. Osobiście dalem już wyraz swej lojalności w tym względzie w dwóch monografiach na temat sztuki ruskiej w Polsce; skądinąd daleki jestem od przeceniania artystycznego dorobku Polski przynajmniej w granicach interesującego mnie średniowiecza. Niemniej przeto należy dać wyraz przekonaniu (i to bynajmniej nie w interesie „bieżącej chwili”) — że kwestja polsko-ukraińskiego artystycznego współżycia datuje się nie od dziś, przedstawiając się jako skomplikowany proces wielkiej wagi; że wreszcie znaczenie tego procesu przekracza jak mniemam, wąskie stosunkowo szranki artystycznego fenomenu...

II.

Zacznijmy od obiektywnego skonstatowania faktu: badania nad sztuką ruską Ziemi Czerwieńskiej znajdują się zaledwie w zarodku, przyчем szczupłej ilości poważniejszych przyczynków odpowiada niemniej skąpy zakres poruszonych tematów. Co więcej, odczuwa się brak opracowań syntetycznych, w pełnym znaczeniu tego wyrazu, co daje się zwłaszcza wyczuć w odniesieniu do malarstwa kodeksowego np. Stąd też wypływa wiążący przymus ostrożnego selekcjonowania zarówno zabytkowego jak i monograficznego.

Zżyliśmy się już poniekąd z poglądem o świetnej artystycznej przeszłości halicko-wolyńskiego księstwa. Żyje jeszcze pokole-



Komunia apostołów
Mal. z Kościoła św. Trójcy w Lublinie

nie przyglądające się niegdyś ze wzruszeniem wykopaliskowym pracom w samym Haliczu. Od barwnego obrazu jaki nakreśliły nam przekazy historyczne dziwnie anemicznie odbijają plastyczne remanenty. Jeżeli pominiemy istotnie ciekawe rumowisko starego książęcego Halicza, a to z tytułu jego fragmentaryczności — pozostanie nam wówczas niewiele. Romanizująca cerkiew w św. Stanisławie, z 14 wieku już pochodzące cerkiew w Haliczu i Ławrowie, przebudowana cerkiew Kryłosu i Szczyrzyca, oraz kilka innych, pomniejszych, a wkraczających już w XVI stulecie. Przebudowie uległa jak wiadomo, gotycka conajmniej, cerkiew metropolitalna św. Jura we Lwowie. Jeśli zestawimy te pozostałości z obfitym wykazem średniowiecznych monasterów w Małopolsce Wschodniej, jaki zawdzięczamy cennej pracy dr. Kripiakewycza, — musimy przyjść do przekonania, że teorią katastrof dziejowych nie wszystko się tu da wytłumaczyć. Raczej należałoby mniemać, że znakomitą część tych budowli wzniesiono już w zeraniu z drewna, co zdecydowało ostatecznie o ich losach. W liczbie zachowanych budowli jedynie cerkiew Halicza, można z pewną rezerwą potraktować jako osobną podgrupę, która być może oddziaływała na budownictwo dzielnicy moskiewskiej, jak to wysunęła ostatnio Niekrasow. A inne?

Cerkiew Ławrowska ujawnia w swym planie filijację ze sztuką moldawsko-woloską, cerkiew Kryłosu i Szczyrzyca nie wybijają się ponad poziom „Dorfkirche” wraz z całym ich oparciem o minimalny program budowlany. Wreszcie cerkiew św. Pantelejmona w św. Stanisławie (późniejszy kościół) obok tradycyjnego planu, fascynuje swym romanizującym portalem, którego filozoficzna redakcja tłumaczy się być może związkiem ze sztuką serbską. Enigmatyczna narazie for-

T R E Ś Ć:

MICHAŁ WALICKI
W S C H Ó D
I Z A C H Ó D
KONRAD GÓRSKI
W A Ł K A
ZE ŚRODOWISKIEM
BURŻUAZYJNEM
U MAURIAĆA
M. KUNCEWICZOWA
F A S O N
KAROL IRZYKOWSKI
U W A G I
JULJAN PRZYBOŚ
R A P S O D
WOJCIECH BĄK
W I E R S Z E
J. E. S K I W S K I
K A T E C H I Z M
D Y P L O M A T Y
K O L U M N A
A R C H I T E K T U R Y
ROMAN PIOTROWSKI
Z Y G Z A K I C Z Y
L I N J A P R O S T A
S Y B O L D V A N
R A V E N S T E Y N
N O W O C Z E S N A
A R C H I T E K T U R A
S P R A W O Z D A N I A,
D Y S K U S J E,
R E C E N Z J E

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/18



Niesienie Krzyża

Malowidło z Kaplicy Ś-to Krzyskiej na Wawelu

ma tego portalu nie przesądza zresztą możliwości dopatrywania się w nim i bliższych z Polską związków. Dodajmy do tych zabytków stojącą a part katedrę ormiańską w Lwowie, pochodzącą z XIV w., którą wiązał był ostatnio dr. T. Mańkowski z kościelną architekturą armeńskiej Kaffy — a będziemy mieli zasadnicze punkty genetyczne interesującej nas architektury. Tu trzeba nadmienić, że dotkliwą lukę tworzy fakt niezachowania się (poza ziemnymi grodziskami) murywanej architektury zamkowej z doby rusko-księżęcej. Te zaś fragmentaryczne pozostałości jakie mogą tu porównawczo wchodzić w rachubę, w postaci kamiennych donjonów w Bielawinie, Stolpiu i Kamieńcu Litewskim świadczą przekonywująco o ich zachodniej provenjencji budowlanej. Ow fakt ograniczenia tradycji bizantyńskiej do sztuki sakralnej, jest obliczem znamienem, i nieraz jeszcze da się stwierdzić jego występowanie.

III.

W zakresie malarstwa ikonowego najwięcej wiadomości zawdzięczamy podstawowemu, zwłaszcza o ile chodzi o materiał reprodukcyjny, pracom dyr. I. Świencickiego. Niestety, ujawniona w tych publikacjach skłonność do zbyt wczesnego datowania wielu zabytków, sprawia, że XV-yczne malarstwo ikonowe redukuje się do kilku dosłownie okazów, które nie pozwalają nam na wydanie umotywowanego bliżej sądu o ich specyficznej odrębności. Prawdziwą rewelacją wystawy jest pod tym względem niedawno odnaleziona na terenie Lemkowszczyzny ikona św. Jerzego, datująca się z pocz. XV w. — najstarszy zapewne przykład ikonowego malarstwa na interesującym nas terytorjum. Natomiast zachowane w znacznych stosunkowo rozmiarach polichromje ściennie w Lublinie (całość), Sandomierzu, Wiślicy (fragmenty), Święto-krzyskiej kaplicy na Wawelu (niemal kompletne), drobne wreszcie pozostałości w Ławrowie — przelewają dostateczne światło na ideowo-formalną stronę średniowiecznego malarstwa Rusi Czerwieńskiej.

Te dekoracje ściennie, stanowią nie tylko najbardziej monumentalny wyraz malarstwa czerwonoruskiego, lecz wszystkie one, z wyjątkiem Ławrowa — zdobiją ściany katolickich świątyń rdzennej Polski, i to świątyń o pierwszorzędnym znaczeniu kultowym i historycznym. Podobnie, jak i wspomniane wyżej zabytki architektury, nie tworzą one je-

dnolitego formalnie kompleksu, ujawniają natomiast dość odległe i wyraźnie zróżnicowane źródła inspiracji stylowej. Najwięcej, jak dotąd, wiemy o polichromjach w Lublinie i Sandomierzu. Pewną część pierwszej z tych dekoracji wykonał niejaki malarz Andrzej (1418), który też czuwał nad całością pracy. Jak starałem się tu udowodnić na innym miejscu, pracowali przy tej polichromji malarze przemyscy. Rezultat kolaboracji wylał się w dość nierówną acz niewątpliwie imponującą całość, w której bizantyzm formalny znalazł wyraz przesiąknięty wpływami bałkańskimi, gotyk natomiast przemówił w re-dakcji sceny Komunii Apostołów i pewnych stylistycznych jej momentach (fig. 1). Co więcej, odbił się wyraziście w relacjach cyklu pasyjnego, w których to scenach malarz wplótł gotyckie zbroje żołnierzy, oraz złożył się na wyraźnie gotycyzujący portret konny Jagielly (fig. 2). Wreszcie — last but not least — koncepcja ikonograficzna dekoracji sklepienia, poświęcona św. Trójcy, oparta została o teksty katolickich teologów (Rupert de Deutz lub św. Wawrzyniec) — jak to podniosła ostatnio dr. C. Osieczkowska. Ten sam akord zainteresowania dla gotyckiej polskiej rzeczywistości i dźwięczy w scenach pasyjnych znacznie już późniejszego świętokrzyskiego cyklu z 1470 r. (fig. 3). Zgola odmiennie przedstawiają się już malowidła sandomierskie wykazujące — jak stwierdziła to dr. A. Marsówna — związek ze starszym cyklem polichromji cerkwi książęcej w Courte d'Arges i w nie-równie słabszym stopniu uzależniona od form nie-bizantyńskich. Dodajmy wszakże, że znamienne wymowę posiadają tu dwujęzyczne łańcisko-cyrylickie inskrypcje, oraz gmerk malarza, skomponowany na modłę gotyckiej sygnatury w scenie „Myrrofony u Grobu”; że wreszcie kto wie — czy nie należy odwrócić wzajemność stosunku polichromji sandomierskiej i malowideł moldawsko-wołoskich, skoro dadzą się odszukać p ó ź n i e j s z e, a bliższe dość naszej dekoracji zabytki z terenu dzisiejszej Rumunii, zaś w rzędzie dekoratorów cerkwi w Arges — wprawdzie w późniejszym już okresie — bo w latach 1519—1526, wystąpi obok niejakiego Dobromira również V i t u s lub Veit, s y n W i t a S t o s z a (cf. prace I. D. Stefanescu).

Streszczamy: monumentalny swój wyraz malarstwo ruskie Ziemi Czerwieńskiej zna-

lało w ramach wnętrz czołowych polskich kościołów gotyckich. Nie reprezentując jednolitej postawy formalnej, ujawniło ono silny związek z malarstwem bałkańskim i moldawsko-wołoskim (Lublin, Sandomierz) oraz zareagowało żywo na gotycką zachodnio-europejską kulturę materialną — oraz częściowo na kulturę duchową (Lublin, Kraków). O ile chodzi o polichromje sandomierską, której domniemanym autorem mógł być niejaki ba'ko Hayl, wymieniony w dokumencie z r. 1426, to być może mamy tu do czynienia z przykładem twórczości lokalnej, której istnienie — w niewyjaśniony narazie bliżej sposób, — wpłynęło i na twórczość bukowińsko-moldawską. A wnioski?

IV.

Zachowane w Lublinie, Krakowie, Sandomierzu i Wiślicy monumentalne średniowieczne polichromje są tylko częścią prac wykonanych przez ruskich malarzy zamieszkałych w Polsce. Wiemy z rachunków królewskich i wizytacji biskupich o pracach przeprowadzonych w sypialni Jagielly na zamku wawelskim, dalej w opactwie na św. Krzyżu, jednej z kaplic katedry krakowskiej, katedrze gnieźnieńskiej i w innych, nieokreślonych bliżej miejscowościach. Organizatorem tych poczynań artystycznych, o symptomatycznym zresztą kierunku, był Władysław Jagiello, wychowany w sympatyzującym z ruską kulturą środowisku litewskim: tu, na zamku Trockim i Witebskim, mógł on zetknąć się z przykładami bizantyńskiej dekoracji, których hieratyczna wymowa form oddziaływała głęboko na mało zapewne estetycznie urobioną psychikę króla. Swoistemu dynastycznemu mecenasowi zatem zawdzięczamy równoprawny i równoległy pochód tej sztuki w głąb ziem polskich.

Wszakże ów proces infiltracji nie dokonałby się nigdy, gdyby nie istniało już, datujące się jeszcze od doby Piastowskiej poufale współzycie kulturalne Polski i Rusi, umacniane stosunkami dynastycznymi, gdyby nie kształtowała się świadomość pewnej swojskości tej sztuki, autonomicznie rozkwitającej na ziemiach kresowych. Nawet w epoce tak słabo stosunkowo rozwiniętego ogólnego poczucia odrębności narodowo-kulturalnej, jakiego widownią było średniowiecze polskie, nie do pomyślenia zdaje się być inwazja sztuki obcej, której wkroczeniu do czołowych świątyń potężnego w tym czasie Państwa oparłaby się w pierwszym rzędzie zdawna już politycznie i narodowo uświadomiona wyższa hierarchja kościelna. Wola królewska nie mogła tu być decydującym czynnikiem. Rozstrzygającym natomiast stać się tu mógł czynnik swoistej współkrwistości tej sztuki, w której formach, nieśmiało wprawdzie, dźwięczała przecież melodja gotyckiej linii, gotyckiej rzeczywistości: i mimowoli przypominają się tu słowa Worringera, „że tylko w tak zwanej „maniera greca“ mogła rozgorzeć gotycka wola formy”, oparta na spirytualistycznym widzeniu światła, przeniknięta muzyczną rytmicznością konstrukcji.

Zestawiając obfite stosunkowo wzmianki o kościelnych paramentach wykonanych „graeco more“, łącząc te fakty z obecnością w naszym inwentarzu sztuki średniowiecznej pewnej ilości obiektów, świadczących dowodnie o swym genetycznym związku ze sztuką Bizantyjskiej Rusi (że wymienię tu chociażby nieistniejący już portal z kościoła św. Michała we Wrocławiu z XII w.) — zyskujemy obraz zgodnego współzycia obu kultur, co więcej, doceniania sztuki rusko-bizantyńskiej przez organizujące się na zachodnio-europejską modłę polskie społeczeństwo. Toć biskup krakowski Zadzik, wizytujący w 1635 r. katedrę wawelską zaleca największą dbałość o widniejące jeszcze na ścianach kaplicy święto-krzyskiej „greckie malowidła“, wcześniej zaś jeszcze, Piotr z Rozpry (XVI w.), prowadził zawziętą kampanję przeciw nowatorskim prądom renesansowym w malarstwie religijnym, zalecając ze swej strony trzymanie się wzorów bizantyńskich. Coprawda, mógł istnieć również odwrotny proces, na co zdaje się wskazywać gotycki tryptyk cechowej szkoły sądeckiej z lat 1460—1480, pochodzący z cerkwi w Wołowcu pod Gorlicami.

Zamykając przydługie te być może rozważania, spróbujmy z kolei sformułować nasuwające się wnioski.

Dotychczasowa znajomość zabytkowego materiału poucza nas o niewątpliwym istnieniu już w XI w. na terenach księstw ruskich ziem Czerwieńskiej wyrobionej kultury ma-

terjalnej, grawitującej silnie ku Zachodowi i stanowiącej jeden z komponentów późniejszego pojęcia państwowości i kultury ukraińskiej. Artystyczny wyraz sztuki tego terenu nie osiągnął oryginalniejszego akcentu; poziom tej produkcji nie przekroczył jak się zdaje, poziomu nawet prowincjonalnej bądź co bądź podówczas w stosunku do Zachodu sztuki polskiej o kresu XI — XIII st. — zaś w ciągu stuleci następnych, kiedy to Polska miała już za sobą dobroczynne dla kultury artystycznej lata Kazimierza Wielkiego i jego następców, — dystans ów zwiększył się jeszcze widoczniej. Kulturalne znaczenie sztuki ruskiej w średniowiecznej Polsce polegało w znacznym stopniu na asymilowaniu form bałkańskich z twórczością lokalną, oraz na wytworzeniu stacji pośredniczącej w tym procesie w stosunku do ziem Wielkoruskich, co w odniesieniu do malarstwa wyczuł już był w swoim czasie N. Kondakow. Przedewszystkiem jednak zasługuje na podkreślenie fakt rytmicznego współzycia z polską kulturą materialną, oparcia się w XV w. o polską inicjatywę kulturalno-artystyczną, wreszcie docenienia wizualnych wartości tej sztuki ruskiej w Polsce przez polską psychikę doby gotyku. Ktokolwiek zgodzi się na te wywody, będzie zmuszony im przyznać wymowę niepozobawioną odrębnego historjozoficznego patosu.



Kamieniec Litewski Donjon XIII-XIV w.



Św. Stanisław Portal cerkwi XIII w.



Lwów Katedra ormiańska XIV w.

KONRAD
GÓRSKI

WALKA ZE ŚRODOWISKIEM BURŻUAZYJNEM W POWIEŚCIACH MAURIAĆA^{*)}

I.

W jednym z ostatnich studjów, jakie się ukazały o Mauriac'u, pisarz ten został ujęty w formułkę, składającą się z trzech określeń: katolik, przedstawiciel burżuazji, mieszkaniec Bordeaux (Jacques Madaule: *François Mauriac ou le triomphe de la fidélité, Vie intellectuelle* z 25 października 1933 r., str. 306—328). Autor studjum, Jacques Madaule, dowodzi, że Mauriac mimo wszystkich ataków na środowisko, z którego wyszedł, nie jest zasadniczym przeciwnikiem burżuazji, o czym najlepiej ma świadczyć ostatnia powieść — *Le Mystère Frontenac*. Niezdolny do jakiegokolwiek zdrady, Mauriac nie zdradził również klasy, do której należy. Nic widzi on jakoby żadnej sprzeczności istotnej pomiędzy chrześcijaństwem i burżuazją: to, co jej zarzuca, niewielką posiada wagę w zestawieniu z tem, co w niej ceni (Ibid. str. 320, 321).

Otóż sprawa wcale nie jest tak prosta. Odrzućmy przedewszystkiem wszelkie próby stawiania jej na płaszczyźnie społecznej. Mauriac nigdy nie traktuje burżuazji jako „klasy”, nie walczy z nią w imię jakiegokolwiek innego ustroju społecznego; tak postawione zagadnienie dlań nie istnieje i dlatego nie może być mowy o jakiejś zdradzie czy braku zdrady. Pretensje i żale, które czuje Mauriac do środowiska burżuazyjnego, rodzą się na planie stokroć wyższym od antagonizmów społecznych. Chodzi tu raczej o uwydatnienie prawdy słów Chrystusa, że łatwiej jest wielbiładowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego. *Le Mystère Frontenac* nie jest wcale apologią burżuazji, lecz apoteozą rodziny i jej mistycznych perspektyw, jak to niejako postaramy się udowodnić. Natomiast obraz środowiska burżuazyjnego w powieściach Mauriac'a jest chwilami bezlitosny; jest to satyra ponura, chłoszcząca, podyktowana świadomością, że moralna nicota burżuazji jest jedną z przyczyn odejścia od wiary wielu jednostek, niezdolnych do ujżenia prawdziwego oblicza katolicyzmu poprzez jego karykaturę w burżuazyjnym ujęciu. To też najbardziej bolesne ciosy pod adresem środowiska, w którym pisarz wzrósł, padają właśnie wtedy, gdy Mauriac odzwierciedla jego wykrzywioną religijność, będącą tak często źródłem zgorznienia dla niewierzących.

Mauriac obdarza ludzi kasty burżuazyjnej tą cechą, o której sam powiedział, że jej nie nawidzi i z trudem znosi w bliźnich, miano wicie — płaskim zadowoleniem z siebie. Już to jedno wystarczyłoby dla stwierdzenia głębokiej sprzeczności między chrześcijaństwem i psychiką zwykłego przedstawiciela burżuazji. Ale jeden z bohaterów Mauriac'a, sam uwikłany w beznadziejny snobizm i pozomość duchową środowiska bogaczy, rozmyśla smętnie o tem, że małosłowność i rytuał jego klasy zamyka mu drogę do jakiegokolwiek wielkości, do heroizmu (*Préséances*, str. 115). To już druga cecha, oddalająca tych ludzi od niebezpiecznej awantury mistycznej, jaką jest chrześcijaństwo, a im głębiej wnikamy w charakterystykę, tem więcej znajdujemy duchowych zapór na drodze do prawdy Chrystusowej. Burżuazja u Mauriac'a niezależnie od tego, czy wyznaje katolicyzm, czy wolno-myślicielski liberalizm, hołduje naprawdę tylko mamonic. Prawdziwą religią tych ludzi jest majątek. Stary Jean Gornac jest antyklerykałem i postępowcem, jego synowa Elżbieta — dewotką, ale te różnice przekonań zasadniczych nie psują harmonji między nimi. Łączyła ich jednak religja innego rodzaju: sosny, winnice, w końcu — ziemia. Jedno czyła ich miłość do tych samych rzeczy. Gdyby im otwarło serca, możnaby było w nich wyczytać nazwy wszystkich ferm, dzierżaw, których posiadanie napełniało ich radością, wzmacniało w dniach burzy i żałoby, sprawiało, iż żaden cios nie był w stanie

zniszczyć w nich ochoty do życia. (*Destins*, w przekł. pol. Losy, str. 50). W imię religji majątku, która łączy wszystkich ludzi tej klasy, rozwiązują wszelkie zagadnienia życiowe, tępiąc bezwzględnie i bezlitośnie w swoim środowisku te jednostki, które dusząc się w takiej atmosferze, chcia-

łyby bronić praw i potrzeb życia uczucowego.

Najlepiej chyba skreślonym typem takiej burżuazji jest Bernard Desqueyroux, mąż bohaterki tytułowej w powieści *Teresa Desqueyroux*. Cóż to za przepysny okaz rasy ludzi, zawsze pewnych własnego sądu,

ale nie umiejących nigdy wczuć się w psychikę drugiego człowieka. Teresę zdumiewa niezachwiana pewność jego moralnych ocen np. w dziedzinie życia erotycznego. Człowiek, co w życiu małżeńskim pochłonięty był swą przyjemnością zmysłową, jak owe rozkoszne prosiaczki, pochrzakujące z zadowolenia nad korytem („koryto — to ja” — myśli Teresa), oburzał się na niektórych szczególnie widowiska w paryskim music-hallu. Teresa podziwia, że to jest ten sam wstydlivy mężczyzna, którego wymyślne piśszczoty będzie musiała znosić zaraz po powrocie do domu. Gdzie on się nauczył tak klasyfikować wszystko, co dotyczy ciała, tak odróżniać piśszczoty porządniejszego człowieka od nadużytej sadysty? On nie zna wahania! (str. 61). W oczach ludzi, co sądzą powierzchownie, Bernard może uchodzić za chłopca prostego i dobrego, ale w rzeczywistości jego prostota jest tylko prostactwem, a jego dobroć — głęboką obojętnością człowieka bez namietności, który nikogo i nic nie kochał. Kiedy mu oznajmiają w szpitalu, że jego choroba jest skutkiem trucielińskiego zamachu Teresy, przyjmuje tę wiadomość z zimną krwią i opanowaniem; rodzina widzi w tem wielkość duszy, wmiawiają w niego nawet świętość. Ale w rzeczywistości sprawa ma się zgola inaczej: dla istot niezdolnych do miłości niema naprawdę rzeczy ważnych. Bernard odczuwa tylko radość człowieka, który uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, a rozmyślając o pobudkach zbrodni Teresy, zdobył się na przypuszczenie, że ona to zrobiła dla zagarnięcia całego majątku po jego śmierci (str. 168 — 170). Cóż począć z takim rubasznym czerepem? Przypominają się słowa adwokata z *Noeud de vipères*: Można z łatwością porozumieć się z duszą żywą, mimo zbrodni, mimo jej przywar najsmutniejszych, ale prostactwo stwarza zaporę nie do przebycia (str. 286 — 287).

Jeśli zważymy, że Bernard jest człowiekiem trzydziestoletnim, a więc młodym, zrozumimy jego typowość jako przedstawiciela pewnej rasy, wyhodowanej pieczołowicie przez określone środowisko. Ludzie tej rasy nie znają namietności i nie rozumieją jej u innych, ich ubóstwo ducha nie jest kluczem do królestwa niebieskiego, lecz bezmyślnością i tępotą, ich cnota i godność osobista — pychą zadowolonej z siebie pospolitości. Oskazem tej samej rasy będzie syn praczki (i starego Gornac'a) August Lagave (*Losy*), drobny urzędnik w paryskim ministerjum skarbu, a niedoszły ksiądz. Gdyby nim został, za zasługę poczytanoby mu rezygnację z tych rozkoszy, które go nigdy nie pociągały. Byłby jednym z tych świętych ludzi, których nam iwnie podziwiamy za to, iż rezygnują nie z tego, co oni lubią, ale z tego, co sami cenimy (str. 26—27). Wszyscy przedstawiciele tej rasy, której cechy psychiczne są podłożem burżuazyjnych, małosłownych cnót, nienawidzą solidarnie ludzi o bujnych namietnościach, o bogactwie możliwości, nie mieszczących się w ramach mieszczkańskiego rytuału życiowego. Są nielitościwi dla ich wykroczeń i potępiając w imię swych ideałów cnoty, zamykają ludziom wykolejonym drogę do odrodzenia. Za ostateczny upadek Teresy Desqueyroux odpowiedzialny jest Bernard, tak jak Piotr Gornac, karykaturalnie gorliwy katolik, ponosi odpowiedzialność za wtrącenie w rozpacz i za śmierć Boba Lagave (*Losy*).

Wśród powieści Mauriac'a jest jedna, w której jego pasja przeciwko burżuazyjnemu środowisku dochodzi do szczytu. Jest to *Préséances* (1921), tragicomedja snobizmu towarzyskiego w świecie wielkich kupców w Bordeaux, pilnie przestrzegających drabiny swych „pierwszeństw”, proporcjonalnie do wielkości majątku i handlowego znaczenia ich firm. Pisarz wprowadza nas do empireum „synów” wielkich domów, handlujących winem. Florence, młoda dziewczyna, która miała nieszczęście urodzić się w domu, co nie handluje winem, lecz sukniem czy drzewem, postanawia zrobić karierę życiową i zdobyć dzięki swej urodzie jednego z „synów”. Gdy

WOJCIECH BĄK

ŚMIERĆ CHRZEŚCJAŃSKA

Jak gilotylna śmierć pogańska
W pogańskim strachu w snach się
wznosi —

I krzyczę nocą jak szalony,
Gdy obłąd go ponosi.

Sąsiedzi budzą się, pukają,
Pięciami w moje ściany —
A ja wciąż krzyczę w głębi nocy
Tą śmiercią obłąkany.

Sąsiedzi krzyżem mnie żegnają,
Ścierają mi pot z czoła —
Ale daremnie ściskam usta,
Mej trwodze nie podołam.

Wyję jak wilk raniony w serce
Srebrną włócznią księżycą,
Bo śmierć nad głową nożem świeci
I pędzi błyskawicą,

Bo śmierć jak brzytwa wyostrzona
Metalem nagle rąbie w głowę —
I bluźga krew — snu żywa krew
Fontanną purpurową!

Kiedyż zrozumiem, zwierzę z duszą,
W ciało bezduszne zabłąkaną,
Śmierć chrześcijańską — bramę światła,
Po dusznej nocy rano!

Tę śmierć jagnięcą, gołębiową,
Jak biblja prostą i surową,
Jak rzeka niebem rozdzwonioną —
Śmierć — nowem życiem ożywioną.

Tę śmierć jak dom rodzinny miłą
I jak ojczyzna macierzystą —
Tę śmierć słowiańską i śpiewliwą
Jak słowik w brzozy liściach,

Tę śmierć — pogodną jak pierś matki
Głodnemu niemowlęciu —
Tę śmierć — radosną, żywą śmierć,
Śmiertelne wniebowzięcie.

Niech oczom snami obłąkanym
Prawda jak biblja się otworzy
I na pogańską duszę spłynie
Łagodny pokój Boży!

TUTAJ NAS NIE TRZEBA...

Przyjacielu — w życiu naszym jak w kuchni nie potrzeba aniołów lub
zbrodniarzy

I jak w ciasnym pokoju niepotrzebny dąb — góra listowia.
Tutaj starczą kucharze
I w doniczkach kwiatki nieporadne —
Laki duszne, niezapominajki,
Kwiatki ładne,
Kwiatki żadne!

Tu wystarczy kanarek — przecukrzony śpiewak — prawie mechaniczny
I gipsowa świętość kolorowa: Chrystusiczek banalnie tragiczny,
Venus porcelanowa — symbol zbożnej mieszczańskiej rozkoszy
I ta wiosna — wiosna bibułkowa — sztuczne róże w rokokowych koszach.

Tutaj trzeba wiersza miękkiego jak fotel,
Wygodnego jak łóżko dębowe —
Jak pantofle na zziębnięte nogi,
Jako czapka barania na głowę.

Tutaj trzeba użytecznych wierszy jak kanapa, krzesło, stół, miednica,
Wierszy gładkich, które się pomieszczą w zeschniętych sercach, w których
śmierć dojrzewa.

Przyjacielu, przyjacielu miły —
Tutaj nas nie trzeba!

WIOSNA WIELKOMIEJSKA

Tu nie stanie bocian — pół filozof,
Zatopiony w wzniosłych syllogizmach,
I wiatr kwietnia gołębiami tutaj
Nie zaszumi w zakopconych izbach.

Tu przed dom nie przybiegnie ścieżeczka
Runem kwiatów i trawy okryta,
I nie oprze szyi jak owieczka
O próg cichy jak o zrab koryta,

Tu nie przyjdzie wiejski grajek — powiew
Zapłątany smyczkiem w skrzypce bluszczu,
I nie tryśnie wodospad niebieski —
Bez — strugami pachnącemi pluszcząc.

Tu nie stanie dzień jak gospodyni
Rozrzucając promieniste ziarno
I nie wzleci zapach ze stodoły
Jak z maślanej i chlebnej spiżarni.

Tu z rynsztoków — kadzielnic stołecznych
Buchnie opar — przegniły i mdławy —
I dzień, handlarz tandety krzykliwy
Krzyknie: „kwiecień” kępką brudnej trawy.

Tu z podwórza wzleci jak z piwnicy
Śpiew dziecięcy błady jak badyle,
I zahuczy wiatr, odpowiadając,
Nieprzystomny, roboczy opilec.

Tu wywalą się z okien poduszki —
Tłuste praczki — patronki biedoty —
I jak hasło zabrzmi jęk ostatni
Córki stróża, zżartej przez suchoty!

^{*)} Jest to rozdział trzeci przygotowywanej przez autora większej pracy o Mauriac'u. Dwa pierwsze rozdziały p. kwartalnik *Verbum*, nr. 1 (styczeń 1934), str. 17 — 66.

KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY K

ROMAN PIOTROWSKI

ZYGZAKI CZY LINJA PROSTA



Głód mieszkaniowy. Nędza mieszkaniowa. Określenia tragiczne. W prasie codziennej i w potocznych rozmowach zdążyły się już zadomowić, zdążyły nabrać znaczenia zdawkowej monety. Poszły na wysługi ciekawości ludzkiej.

Od czasu do czasu ukazują się w dziennikach lub pismach periodycznych efektowne reportaże ilustrowane zdjęciami nędznych mieszkaniowych. Czasem — już znacznie rzadziej — w filmach propagandowych pokazuje się takie zniekształcone, robaczywe siedliska ludzkie dla wydobycia silniejszego kontrastu z uroczymi słonecznymi „szklanymi domami”.

Czyta je i ogląda ten, dla którego są to jakieś koszarne sny, z których prędko budzi się i otrząsa dla tem pełniejszego rozkoszowania się własną rzeczywistością. W codziennym użyciu zatraciły te pojęcia istotny walor.

Nowa klęska, klęska bezrobocia odsunęła dzisiaj sprawę mieszkaniową nieco w dyskretny półmrok, nawet z przed oczu tych niewielu, którzy wykazywali mniej lub więcej platoniczne zainteresowanie się nią. W światku architektonicznym toczą się gorące spory czy Architektura ta przez duże „A” jest sztuką. W pismach architektonicznych — a raczej, by być bliższym rzeczywistości, w jednym u nas piśmie fachowym architek-

tonicznym, oglądać możemy wymyślne palacyki, feerie ze szkła, marmurów i alabastrow. Na wystawce budowlanej na Bielanach widzieliśmy domki — zabawki z idyllą własnego ogródka, z kaktusikiem, firanczką. Drugi już rok z rządu goszczą mozaikowe sale gmachu bankowego konkursowe tłumy projektów tanich domków za głupich kilka tysięcy, mniej więcej całkowity zarobek z pięciu lat robotnika dobrze sytuowanego. A troglodyta XX wieku w dalszym ciągu nie wyjrzał na światło dzienne i po dawnemu gnieździ się razem ze swoją rodziną w suterenach i poddaszach miast.

Gdzież więc tkwi przyczyna, że nędza mieszkaniowa, która w ciągu kilkunastu lat państwowości naszej, zdążywszy zdobyć sobie prawo obywatelstwa w pojęciach społeczeństwa, nie została nietylko opanowaną ale nawet naruszoną. Wsiąkła w nas, stała się zjawiskiem codziennym, nieuchronnym, niemal koniecznym. Przecież ci, którzy tę nędzę cierpią to nie jakieś odpadki społeczne, objekty litościwej filantropji, to pracownicy, a więc pełnowartościowe jednostki społeczne. A przecież co roku jesteśmy świadkami wszczynania akcji budowlano-mieszkaniowej. Co roku powstają nowe plany kampanji budowlanej. Nowe. A zatem wyniki z poprzedniego roku są niezadowalające. A zatem istnieje szukanie dróg.

Powstaje więc niepokojące pytanie, jaka jest droga tych poszukiwań? Czy są to zyg-zaki przeskakiwania między jakimiś biegunami, jakimiś sprzecznymi ujęciami problemu mieszkaniowego, czy też usiłowania te w wypadkowej swej rozwijają się po linii prostej. A dalej jaki jest zasięg zamierzeń. Czy obejmują one tylko pewien odcinek, czy też całą rozpiętość zagadnienia od wy-gody dostatku aż do konieczności niezbędnej potrzeby. Zobaczymy jak kształtowała się ta sprawa na przestrzeni ostatnich dwunastu lat.

Pierwszy etap charakteryzuje popieranie ruchu spółdzielczo budowlanego. Należy jednak wyraźnie powiedzieć, że powstające spółdzielnie posiadają w swej przytłaczającej większości bardzo mało wspólnego z ideą spółdzielczości. Poza nielicznymi wyjątkami były to zgrupowania ludzi, którzy w formie spółdzielczej widzieli jedynie środek dla łatwiejszego uzyskania kredytów publicznych. Celem natomiast było nabycie prawa nie do użytkowania mieszkania, lecz do zdobycia pewnej własności. Idealem tego typu spółdzielców było możliwie najpełniejsze uniezależnienie się od organizacji, aż do rozwiązania spółdzielni włącznic. Tego rodzaju nastawienie wysuwające na miejsce wspólnoty interesów mieszkaniowych interes indywidualny, pociągało za sobą szereg następstw zwięzających w sposób zdecydowany całość t. zn. akcji mieszkaniowej. Przewszystkiem przekreślona została ciągłość działalności poszczególnych organizacji, a zatem ich rozwój. Powstawanie coraz to nowych spółdzielni o bardzo szumnych a czasem groteskowych tytułach nie oznaczało rozwoju współdzielczości. Jednocześnie bowiem z powstawaniem nowych zamierzały dawne, bądźto przechodząc z chwilą oddzielenia mieszkaniem pierwszej grupy organizatorów w stan zupełnej bezczynności, bądź po wydzieleniu hypotecznym poszczególnych jednostek likwidując się zupełnie. Zdobyty kapitał doświadczenia zostawał zamrożony, a zatem zmarnowany.

Przesunięcie punktu ciężkości z użytkowania na posiadanie ograniczało możliwości użytkowania do pewnego ściśle określonego obiektu. Stąd powstawała konieczność przewidywania, rodząca moment spekulacji. Spółdzielca nie widział w osiągnięciu mieszkania zaspokojenia swej potrzeby istniejącej, lecz przewidywanej. Mówiąc obrazowo zdobywał sobie mieszkanie „na wyrast”. Biorąc na siebie zbyt duże zbudę w danej chwili ciężary i angażując w imprezie mieszkaniowej posiadane — w formie gotówkowej lub kredytowej — zasoby, spekulował na przewidywane zyski. Stąd też naturalny pęd do uzyskania największej swobody w dysponowaniu pozyskanym mieszkaniem, stanowiący potężną siłę odśrodkową, dążącą do rozsadzenia organizacyjnych form spółdzielczych. Spekulacja „spółdzielców” szła w dwóch kierunkach: liczył on na rentę gruntową i na ewentualną nadwyżkę, możliwą do osiągnięcia z eksploatacji mieszkania w stosunku do płaconych procentów z tytułu zaciągniętej pożyczki z funduszy publicznych.

Ze tego rodzaju wynik nie pokrywał się z oficjalnymi zamierzeniami państwa jako dysponenta funduszy budowlanych wynikało z szeregu warunków od jakich uzależnione było uzyskanie kredytów. Tem niemniej było publiczną tajemnicą, iż warunki te były niedotrzymane i omijane. Powszechność tego zjawiska, które delikatnie mówiąc można określić jako nadżycie, miała swe uzasadnienie w samym założeniu akcji popierania budownictwa mieszkaniowego. Chodziło o dopomożenie jednostkom silnym, lub bodaj odpowiedzialnym finansowo, do zrealizowania ich zamierzeń budowlanych, a zatem o zaangażowanie w inwestycjach długoterminowych drobnych kapitałów. Zachętą do tego miała być między innymi premia w formie dogodnych warunków kredytowych na część kosztów budowy. Państwo jako dysponent funduszy zwracało się prosto do prywatnych dysponentów z pewną ofertą. Dlatego też siłą rzeczy względy natury socjalnej zostały w cień usunięte. Na pierwsze miejsce wysunęła się transakcja



finansowa. Tak też akcję tę, mniejsza z tem czy świadomie czy podświadomie, ujęła przytłaczająca większość korzystających z tych pożyczek. Ze ludzic ci w wielu wypadkach zawiedli się w swoich rachubach to już zwyczajny bieg rzeczy przy każdej spekulacji, zwłaszcza jeżeli spekulujący występuje na terenie zupełnie dla siebie nieznanym. Widzimy więc, że akcja ta zwracając się do sfer posiadających nie mogła objąć szerokich mas pracowniczych dysponujących jedynie swą pracą opłacaną w granicach pozwalających zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby, ściśnięte do minimalnych granic. Mieszkańcy piwnic, suteren, poddaszy, mieszkańcy przeładowanych wilgotnych i ciemnych nor gnieździł się podawnemu. Co więcej w niektórych domach spółdzielczych dla podniesienia rentowności budynku porobiono mieszkania w suterynach, „do wynajęcia za niewygórowany czynsz”.

Drugim etapem na drodze polityki mieszkaniowej była akcja budowlana Zakładów Ubezpieczeń Społecznych. Najcharakterystyczniejszą jej cechą jest ujęcie programowe zagadnienia. Postanowiono dostarczyć mieszkania o ściśle określonym charakterze przeznaczonych dla anonimowego użytkownika. Były to więc mieszkania do wynajęcia. Właścicielem budynków pozostawały Zakłady Ubezpieczeń. Wielkość mieszkań i ich uposażenie wahały się w bardzo sztywnych granicach. Założenia te zmusiły w logicznej konsekwencji do zcentralizowania całej akcji w rękach pewnej jednostki prawnej, będącej emanacją wszystkich Zakładów.

Mieszkańcami domów mieli być w pierwszym rzędzie pracownicy ubezpieczeni w Zakładach. W ten więc sposób w zasadzie akcja przedstawiała się jako całość programowa zawarta, zmontowana logicznie, nastawiona na zaspokojenie potrzeb szerokich warstw pracowniczych. Zanosilo się na to, iż tym razem zostanie zaatakowany front spekulacji mieszkaniowych.

Przewidywania te nie znalazły jednak potwierdzenia w czasie realizacji tej akcji. Ilość mieszkań typu tak zwanego robotniczego, t. j. przeznaczonych dla pracowników fizycznych kurczyła się, nikiąc zupełnie w ostatniej serii budynków. Bezpośrednim tego powodem był fakt, iż wysokość komornego przekroczyła możliwości płatnicze robotnika. A prócz tego robotnik nie mógł dać wymaganych gwarancji wypłacalności. I tutaj właśnie ta akcja tak pozornie różna od poprzedniej nastawionej na popieranie pseudo-spółdzielczego budownictwa wykazuje zupełnie pokrewne właściwości. W poprzednim wypadku była to operacja finansowa zmierzająca do wciągnięcia kapitałów prywatnych do angażowania się w inwestycje długoterminowe, w tym zaś kapitał prywatny został zastąpiony funduszami społecznymi. Kapitał prywatny dążył do ustalenia swych zysków na drodze mniej lub więcej jawnej spekulacji. Fundusz społeczny posiadał zgóry ustalone i spetryfikowane warunki na jakich mógł się angażować w inwestycjach budowlanych. A zatem w obu wypadkach były to normalne przedsięwzięcia finansowe oparte zgodnic z zasadami



Okęcie

Włochy

przezorności operacji finansowej na założeniu opłacalności.

I tym więc razem ofiara nędzy mieszkaniowej jako jednostka zbyt słaba ekonomicznie nie mogła zostać klientem. Współczesny jaskiniowiec pozostał znowu poza nawiasem. Dochodzimy wreszcie do najbliższej przeszłości i teraźniejszości. Znaną jest oczywiście akcja popierania budowy „małych domków”. Jakkolwiek nazwa ta, od której zresztą czynniki oficjalne mają zamiar odstąpić obecnie, jakby żywcem wyjęta z opowieści dla grzecznych dzieci brzmi niezmiernie idyllicznie, tem niemniej oznacza ona katastrofę zupełną dla tych, którzy są wydani na pastwę gruźlicy i degeneracji w norach niegodnych nazwy mieszkania.

Moment finansowy wyzwolony ze wszelkich osłonek przytłoczył tutaj w sposób zdecydowany wszelkie inne względy. I to najzagorzalszych przytłoczył z takim powodzeniem, że nawet bankowców strach ogaręł. Tak adorowany kapitał prywatny, wywołana inicjatywa prywatna, pozbawione więzów, rozluźniły się na dobre, pokazując jak to w króciutkim czasie skromniutkiemi środkami potrafią zeszpeci, poprostu zapaskudzić wcale okazałe tereny. Tak, to już zaczyna szkodzić nie tylko temu biedakowi z Gęsiej, Żelaznej czy Woli, ale może popsuć otoczenie nawet bardzo ładnej wykwinętej willi. Dlatego postanowiono obecnie nałożyć więzy zresztą bardzo delikatne inicjatywie prywatnej. Ujęto to (czasami najnowsze) w piękno brzmiące określenie „budownictwo zbiorowe”.

Nazwa jednak istoty rzeczy nie zmienia. Czy tak je nazwiemy czy inaczej to budownictwo wyrosło z ideologii „małych własnych domków” nie przysporzy ani jednego mieszkania masom pracowniczym, których zarobek pozwala jedynie na wegetację. By zdobyć prawo do ubiegania się o mieszkanie w domach Zakładów Ubezpieczeń Społecznych musiał wykazać się pracownik posiadaniem paruset złotych. By zamieszkać taki mały, nawet najmniejszy domek musi już posiadać parę tysięcy. Szybko oddalamy się od możliwości skasowania suteren i wiatrem podszytych poddaszy. Widzimy więc, że droga rozwojowa polityki budowlanej wbrew pozorom uskokom i poszukiwaniom idzie nie zygzakami lecz po linii prostej obejmując zawsze ten sam odcinek społecznych warstw silnych lub bodaj odpowiednich gospodarczo.

W rozumowaniach powyższych wyeliminowano wszelkie względy koniunkturalne. Nie znaczy to, by zapomniano o istnieniu kryzysu i o wpływie jaki wywiera brak wolnych kapitałów na kształtowanie się stosunków w budownictwie. Wpływ ten jednak jest raczej natury ilościowej, a nie jakościowej, jeżeli chodzi o ramy w jakich poruszała się polityka mieszkaniowa. W ciągu rozpatrywanego okresu rozmaicie kształtowała się wysokość sum przeznaczonych na akcję interwencyjną w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Lecz, niezależnie od ich wysokości, sumy te nie mogły nigdy dotrzeć do tych granic od których dopiero zaczynało się zagadnienie mieszkaniowe dla warstw „nieposiadających”, niedysponujących pewnymi skapitalizowanymi zasobami.

Sądzą, iż można śmiało zaryzykować przewidywanie, że warstwy te nawet przy poprawie koniunktury gospodarczej nie mają w ogóle szans na osiągnięcie takiego stopnia zamożności, który pozwoliłby im na gromadzenie oszczędności. Należy zatem wyraźnie podkreślić, że oparcie polityki mieszkaniowej na zasadach operacji bankowych musi w konieczności niezależnie od wszelkich nawet najszerzej pomyślanych i najlogiczniej skonstruowanych programów i niezależnie od dobrej czy złej koniunktury, wyeliminować z szeregu korzystających z dobrodziejstw tej akcji warstwy niezamożne.

Na tej drodze walka z nędzą mieszkaniową jest utopją.

Uwaga: Przy omawianiu polityki mieszkaniowej na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat pominięto działalność Funduszu Kwaternu Wojskowego. Akcja ta bowiem przez swój specyficzny charakter nie mogła wpływać w żadnej mierze na zwalczanie nędzy mieszkaniowej. Nie leżało to zresztą w sferze jej zadań.

SYBOLD VAN
RAVENSTEYN

NOWOCZESNA ARCHITEKTURA

Arch. S. van Ravensteyn pracuje od wielu lat w dyrekcji kolei holenderskich, początkowo jako inżynier (do 1912 r.), a następnie jako architekt. W roku 1927 buduje okrągły budynek biurowy w Rotterdamie „Fyc-noord”, biura Rotterdam-Maas i bardzo dużo domów sygnałowych z czego dwa w Delft.

Obecnie przebudowuje Ravensteyn stację kolejową w Rotterdamie. Tam też buduje tunel, który umożliwi elektryfikację linii Rotterdam-Dordrecht. W 1933 roku wybudował sobie w Utrechtzie willę.

W książce „Torsio” Jana Figelmána znajduje się obszerny artykuł o Ravensteynie. Sam Ravensteyn pisał w „Balans”, w 1930/31 roku w „Esthetic”, a od 1932 roku prowadzi rubrykę architektoniczną. Od czasu do czasu urządza też publiczne odczyty o nowoczesnej architekturze.

T. B.

Sztuka architektoniczna jest stosunkowo mało dostępna, jeżeli się ją porówna z innymi formami sztuki, np. muzyką, literaturą, teatrem, malarstwem, lub rzeźbą. Sztuka jest odbiciem rzeczywistości, w której znajdują ukojenie nasze spętane, świadomie lub podświadomie, pragnienia. Coś nakształtał snu zakłętego przez artystę w formę, a przez widza poznane i uznanego; dźwięk, forma, rytm, barwa, oto język sztuki. Dlaczego np. współdźwięk c-e daje zgoła różne wrażenie, niż rozdźwięk e-d, nie da się zgoła wytłumaczyć; niemniej pozostanie faktem niezbitym i dowodzi, że muzyka wzbudza w nas uczucia, przenosi je, a przez to jest w stanie wywołać pewne idee.

Podobnie rzecz się przedstawia z różnego rodzaju barwami, ich połączeniem i formą; pomyślmy np. o bloku kwadratowym, słupie, linii falistej lub zygzaku. Można rzec, że wszystkie te dźwięki, barwy, formy są symbolicznymi wartościami uczuć; związek ten może być bardzo pośredni np. widok kuli w plastycznej kompozycji powoduje uczucie pogody ducha.

Dźwięk, barwa, forma łączą się w różnych rodzajach sztuki, dając kompozycje, budząc przejaw ruchu. Analiza przeto języka sztuki jest przez to ogromnie utrudniona. Rodzaje sztuki, ogarniające element ruchu, a więc: muzyka, film, teatr, literatura — są, jeżeli się uwzględni wielkie niemi zainteresowanie, najbardziej wartościowe; wytłumaczyć to można chyba tylko analogią ruchu w marzeniu senem. Inne rodzaje sztuki: malarstwo, rzeźba, architektura dają niezmienny obraz, a przez to odgrywają mniejszą rolę.

Ponieważ architektura opiera się na formie, barwie, przestrzeni, działa przeto przez swe wartości symboliczne na sferę uczuciową; jest to jej, jeżeli nie najwyższy, to jednak podstawowy cel, tak jak w „wolnej sztuce”, różnica polega jednak na tem, że w sztuce budownictwa wrażenie psychiczne wypływa z przedmiotu, który się używa. Jest to zarażem wielkie niebezpieczeństwo dla architektury: można tym wartościom psychicznym dać zbyt wielkie pole na wypuklenie się, a zbyt małe na właściwy cel i sens jako obiektu użyteczności, przystosowanego do życia. Architektura staje się wtedy plastyką.

Holandja dużo na tem cierpiała, szczególnie w t. zw. „romantycznej szkole amsterdamskiej” De Klerk'a i Kramer'a. Rzecz o-

czywista, niebezpieczeństwo to istnieje wszędzie tam, gdzie rządzi teoria, jednakże człowiek ma mniejsze skłonności do nadawania form wartościom psychicznym, budując motor dieslowski, niż np. dom. Pochodzi to stąd, że budowa domu silniej działa na jego centra uczuciowe, niż budowa maszyny. W przejściowym okresie czasu, w jakim obecnie żyjemy, jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska: konstrukcja i przestrzeń zajmują dużo miejsca; nowostworzony obiekt użytku znajduje się jeszcze pograżony w „status nascendi”, zbyt mało opanowany, przemyślany, aby posiadał możność pogodnego zamknięcia w sobie wartości kształtów. Nazywamy to brzydkiem, a właściwie jest to niedojrzałe, choć bardzo żywotne i fascynujące przez kierunek wprowadzonych zmian, które często mają cechy wynalazków.

Ale większość publiczności, która reaguje uczuciowo i która przez odcieżałość jest obojętna w stosunku do nowopostawionego celu: użyteczności obiektu — nie znajduje w nowoczesnej architekturze tego, czego szuka (przykładem tego jest przeciwstawianie się). Publiczność ta jest wroga wszystkiemu co nowe, a kurczowo trzyma się starzyny.

Do tego dochodzą jeszcze finansowe względy, które utrudniają zaakceptowanie nowoczesnej architektury.

Łatwiej wymienia się partyturę Tannhäusera na Strawińskiego, niż willę Barel'a na Ravensteyn'a.

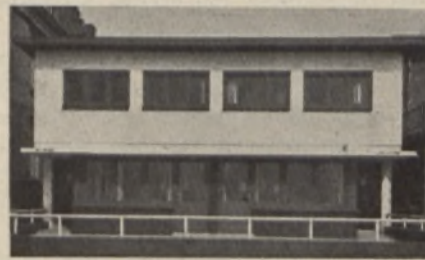
Na czym polega właściwie ta „nowość” w architekturze?

Nasz sposób życia skłania się coraz bardziej do otwartości i nieskrępowania. Więcej słońca, powietrza i światła — oto ideały i psychiczne wymogi. W architekturze dążenie to wyraża się w dwojaki sposób: po pierwsze w skłonności do budowania wysokich domów, dzięki którym przy takim samym zaludnieniu na hektar uzyskuje się więcej miejsca na parki, szerokie autostrady i t. d., po wtóre w możności wprowadzenia więcej powietrza i więcej lepiej rozmieszczonego światła w naszych mieszkaniach i biurach. Technika nowoczesna daje nam całkowitą możność osiągnięcia tego.

Z żelazobetonu, albo stali możemy wykonać ramy i belki, które umożliwiają budowanie wysokich domów i robienie dużych otworów bez używania słupów czy filarów. Windy umożliwiają zamieszkanie najwyższych kondygnacji, centralne ogrzewanie zabezpiecza przed gwałtownym oziębianiem się dużych płaszczyzn szklanych, osadzonych w metalowe ramy okienne, cienkie, mocne i trwałe, które pozwalają na łatwe otwieranie i zamykanie.

I pocóż te kolumny i pilastry — ten niepotrzebny element dekoracyjny fasady?

Stoiśmy pośrodku pokoju i chcemy wyjść na zewnątrz, wtedy wzrok nasz zatrzymuje się także i na filarze. Ponieważ jest on bliżej, nie możemy równocześnie przystosować naszej źrenicy tak, by ostro widzieć pilaster, filar i to co się dzieje na ulicy. Ponieważ otwór okienny jest mocniej oświetlony od pograżonego we własnym cieniu słupa, musimy nastawić się na te dwojaki oświetlenie. Przeszkadza nam to i oślepia nas. Dlatego w pokoju z pilastrami, w domu o fasadzie



A. Ezas i P. Worm

Willa



S. v. Ravensteyn

Kolejowy budynek sygnałowy



S. v. Ravensteyn

Budynek kolejowy

ozdobionej kolumnami i chroniąc się przed tem oślepiającym światłem, na które tak powyżej narzekaliśmy, zawieszamy w oknach firaneczki z gazy, by uzyskać bardziej równomierne oświetlenie. W pokoju domu o gładkiej fasadzie, przeto z oknami na całą długość ściany, są te firaneczki niepotrzebne.

Nie należy jednak zapomnieć o jednym: sufit i ściany muszą być również jasne, inaczej kontrast byłby zbyt silny między ścianą, a otworem okiennym. W fasadzie otrzymujemy więc długą wstęgę okien. Do tego nowego wnętrza trzeba się przyzwyczaić; publiczność jednak reaguje dość szybko i rozumnie, i wiele osób bardzo łatwo to sobie przyswaja.

Zkolei musimy umeblować nowoczesny pokój. Szukamy mebli takich, które są mocne, a lekkie i cienkie, aby dawały jaknajmniej cienia, tego niepożądanego kontrastu w małym pokoju. Sprostać tym wymogom nie mogą drewniane meble, wrażliwe na centralne ogrzewanie, lecz takie, których szkielec sporządzony jest z rur stalowych, polyskujących i chromowanych. Tak powstaje wesół i wykwintna przestrzeń, stworzona do mieszkania.

Z tych samych, wyżej wspomnianych, powstają szkoły z żelazobetonu i szkła, umożliwiające naukę pod gołym niebem, terytoria na płaskich dachach, ogrody zakładane pod samym budynkiem (spoczywającym na kolumnach), co się szczególnie nadaje tam, gdzie jest mało terenu budowlanego do rozporządzenia.

Oto są cechy charakterystyczne nowoczesnej architektury. Nie zwracamy już uwagi na cieniowanie cegły i na dekorację fasady, ale upajamy się światłem i przestrzenią.

Nie jest to tańsze, ale lepsze i weselsze.



H. Stof

Projekt apartament-house

Tłumaczył T. Berlinerblau

GEOGRAFJA TALENTÓW

„Jak się przedstawia prężność kultury polskiej na ziemiach wielkopolskich w świetle nazwisk wybitnych i wybitniejszych ludzi geograficznie czyli topograficznie pojętą? Takie pytanie stawia sobie gwoli wysnucia głębszego, jak powiada, wniosków p. Alfons Szyperski w książce p. t.: „Geografia talentów wielkopolskich” (1934 r., str. 51), stanowiącej IV tom Biblioteki Wici Wielkopolskich.

Autor ogranicza się do jednego tylko działu kultury, do humanistyki szeroko pojętej. Uwzględnił jedynie nazwiska, jak twierdzi, najważniejsze, „takie co kiedyś były głośne, co miały swoje znaczenie”, kładąc główny nacisk na wiek XIX. Pod uwagę bierze historyczną Wielkopolskę właściwą (t. j. dawne województwa: poznańskie, kaliskie i gnieźnieńskie) oraz Kujawy. Opierając się na tych sprawdzianach przytacza autor około 300 nazwisk wraz z zwięzłymi charakterystykami; do 1750 r. szereguje je chronologicznie, wedle wieków, od tej zaś daty wedle regionalnego pochodzenia. Na Kaliskie i Kujawy zwrócił autor mniejszą uwagę niż na inne obszary wielkopolskie, stąd widoczna skąpość nazwisk z tych ziem. Pozatem wydaje się, że materiał zebrano dość dokładnie. Oto kilka dorywczych uzupełnień: J. Chr. Arnold z Leszna, Leon Biskupski z Kościana, A. A. Chodyński z Kalisza, Teodor Dydyński z Bydgoszczy, Maksymilian Jackowski, Józef Milewski z Poznania, ks. Marjan Morawski z Oporowa, Edmund Naganowski, L. Rzepecki, Leon Wegner z Poznania, Teodor Tripplin z Kalisza.

Po przytoczeniu tego korowodu nazwisk świętych lub tylko zasłużonych, autor dochodzi do wniosku, zresztą oczekiwanego, że: „Pozytywizująca Wielkopolska zajęła w dziejach kultury polskiej odpowiadając jej psychice stanowisko”. Świadczy o tem mnogość wybitnych przedstawicieli nauk filologiczno-historycznych i przyrodniczych. W dziedzinie literatury pięknej znamionują Wielkopolskę najskrajniejsze kontrasty: ośrodek nielicznych gwiazd — miernoty.

W świetle zebranego materiału najciekawszą żywotność kulturalną wykazują ośrodki: Kruszwica, Gniezno, Poznań, najsłabszą zachodnie połacie Wielkopolski i w ogóle obszary wystawione kiedyś na silniejszy napór germanizacji. Pod względem prężności kulturalnej ubiegają współczesne Poznańskie jedynie województwa: krakowskie, lwowskie i Warszawa, współzawodniczą z niem kaliskie i warszawskie. Przy warsztacie twórczej pracy przoduje dziś mieszczanństwo, warstwa nieużyta a krzepka. Zaletom innych dzielnic przeciwestawiają Wielkopolskie wytrwałność i zmysł organizacyjny.

Zwięzły, żywo ujęty szkic p. Szyperskiego nie jest bogaty w niespodziewane wnioski. Szkoda, że autor nie nawiązał do naukowych prób, zmierzających do podobnych celów. Wiadomo przecież, że zagadnienia tego rodzaju zajmowały żywo Bronisława Chlebowskiego, który z zainteresowaniami historyczno-literackimi jednoczył geograficzne. W referacie na Zjazd im. Jana Kochanowskiego (w 1884 r.) p. t.: „Zadania historii literatury polskiej wobec etnograficznych, politycznych i umysłowych czynników jej dzisiejszego rozwoju” naszkicował on wpływ czynników terytorjalnych na produkcję piśmienniczą. W wywodach swych nie pominął oczywiście Wielkopolski, i jako jeden z ryków znamiennych podniósł naprzykład, że: „Zaden z wybitniejszych poetów urodzonych w Wielkopolsce nie zawdzięczał wielkopolskiemu niebu rozwinięcia swych zdolności i żaden nie znalazł w swej prowincji widowni dla działalności literackiej z wyjątkiem grupy satyryków i moralistów występujących w połowie XVII w.”. Program badań, rzucony przez Chlebowskiego nie wyszedł u nas plonów, być może dlatego, że autor nie rozwinął go w sposób dostatecznie przekonywający. Znaczenie później tego rodzaju, zrodzone zresztą z ducha Taine'a, zakiełkowały w Niemczech, doprowadzając w wyniku do rozwinięcia się etnograficznego kierunku badań historyczno-literackich. Świetnym jego przedstawicielem jest J. Nadler, profesor historii literatury niemieckiej w Wiedniu, autor „Literaturgeschichte der deutschen Stämme und Landschaften”, dzieła nowatorskiego pod względem metody i bogatego w wyniki.

Nawiązanie do podobnych prac pokrewnych i uzupełnienie wywodów zwięzła chociażby podbudowa teoretyczną byłoby niewątpliwie wzbogaciło problematykę próby p. Szyperskiego, wpływając na udoskonalenie metody i pomnożenie dróg podejścia do tematu oraz doprowadzając w następstwie do wyników głębszych i ciekawszych, ostatecznie bez konieczności zmiany zasadniczego charakteru książki. Trzeba wszakże po czytać autorowi za zasługę podjęcia tego zajmującego a płodnego tematu i zwrócenie na niego uwagi. Praca p. Szyperskiego spełni zresztą swoje zadanie jako użyteczny, zgrabnie napisany szkic informacyjny.

T. Sterzyński.

SŁOWO I OBYCZAJ

Wystawa M. Słodkiego

W przedmowie do „Dziejów Kultury Polskiej” pisał prof. Brückner, że w książce tej „szczegółowo przedstawił przeszłość narodu, naukę i pobudkę zarazem dla obecności”.

I rzeczywiście książka ta, uzupełniająca istniejącą dotąd lukę w zakresie badań nad kulturą polską stała się pobudką dla „obecności”, skoro w kilka lat później prof. Bystroń obdarzył nas hojnie aż dwiema temi pracami: „Dziejami obyczajów w dawnej Polsce” i „Przysłowiami polskimi”.

Szczególnie ostatnia praca prof. Bystroń jest godna uwagi i posiada dużą wartość, ponieważ badania nad przysłowiami poszły w kierunku historyczno-kulturalnym. Analizując cały zasób przysłowiowy w jego ciągłej zmienności, w związku ze zmianami socjalnego i kulturalnego podłoża, wiąże się przysłowia z calokształtem kultury, łącząc historycznie znaną nam przeszłość z tradycyjnymi zwyczajami językowymi, które unoszą się na powierzchni życia.

Badania więc historyczno-kulturalne, zwłaszcza w zakresie dziejów języka, mają ogromne znaczenie: bowiem odsłaniają nam bujne i barwne życie naszej przeszłości oraz utrwalają formy życia współczesnego, które tak szybko się zmieniają. Niestety prac takich jest niewiele, choć posiadają one bezsprzecznie wielką wartość społeczną.

Potrzebę istnienia tego rodzaju prac wysuwają także i pisarze nasi, a gorącym rzecznikiem tej sprawy jest Julian Tuwim „Lubownik” starej polszczyzny, posiadający doskonale wyuczycie języka.

Zagadnienie to poruszył Tuwim w „Dwutygodniku Literackim” (Nr. 5, Poznań 1932), proponując nawet stworzenie osobnego wydawnictwa pod ogólnym tytułem „Słowo i obyczaj”, któreby wydawało szereg prac językowych w związku z obyczajem polskim.

Literatura językoznawcza polską prawie zupełnie nie ma zebranych materiałów, dotyczących pewnych dziedzin życia w związku z obyczajem. Bodaj, że pierwszą taką pracą była praca autora niniejszego artykułu „O wyrazach żelżywych w języku polskim” (dotąd jeszcze niedrukowana), ujmująca zagadnienie to od strony znaczeniowej, a potracająca siłą rzeczy o obyczaj polski. Brak nam w tej dziedzinie słowników, prączynków oraz opracowań, któreby stały się podwalinami obszerniejszych prac monograficznych.

Sam projektodawca, Tuwim, dał tu najlepszy przykład, opracowując przez lat kilka „Polski Słownik Pijacki” (obecnie w druku).

Słownik powyższy (por. B. Wieczorkiewicz „O Polskim Słowniku Pijackim” „Julian Tuwima, odbitka ze Spraw. z Posiedzeń Tow. Nauk. War., 1933) jest nietylko zbiorem wyrazów pijackich ale i frazeologii pijackiej. Autor na przestrzeni historycznej całego języka polskiego chciał dać przegląd słownictwa pijackiego. Dość bogato przedstawia się w nim język mówiony (języki zawodowe, gwary), a wartość zebranego materiału podnoszą liczne cytaty.

Projektowanemu wydawnictwem tuwimowemu winny się zainteresować czynniki, powołane ku temu, bo dość trudno dziś jest zebrać odpowiedni fundusz, albo znaleźć wydawcę, któryby na własną rękę podjął się takiego wydawnictwa. Jedyną instytucją, która mogłaby pomóc jest Fundusz Kultury Narodowej, ale mało zrozumiałe orientacje literackie tej placówki, sprawiają, że subsydiuje ona częstokroć w swej naiwności komunistów, ale nie da ani grosza niearyjszycowi.

Należy przypomnieć, że wielki uczonej polski prof. Boudouin de Courtenay, rozumiejąc doskonale potrzebę i wartość zbieranych materiałów w związku z obyczajem, na wiele lat przed wojną zapoczątkował tego rodzaju wydawnictwo niestety u nas bardzo mało znane.

Nasuwają to zresztą cały szereg wielorakich możliwości. W pierwszym zaś rzędzie sprawa, poruszana kilkakrotnie w łonie Towarzystwa Poprawności Językowej — zebranie materiałów do słownika gwary warszawskiej, tak bogatej i ciekawej a tak ulażącej. I znowu pytanie, czy sprawa ta nie powinna już od dawna zainteresować Wydziału Oświaty i Kultury Zarządu m. Warszawy (tak zw. niestety „osiolka magistrackiego”, bowiem do niedawna wózek tego wydziału ciągnięty był przez osła) ku uciesze nawet uczniów szkół powszechnych. Czy nie znalazłoby się trochę grosza choćby tylko na zapoczątkowanie „słownikarni”, bo chętnych pracowników znalazłoby się wielu, a są i tacy, którzy posiadają już wcale bogate zbiory materiałów.

Z zazdrości przegłąda się słowniki francuskiego „argot”, zwłaszcza wspaniale wydany „L'argot au XX^e siècle” Arystydesa Bruant (Paris 1905), czy nowsze opracowanie „L'argot du milieu” Jana Lacassagne (Paris 1928), bo jak powiedział Victor Hugo „L'argot est tout ensemble un phenomène litteraire et un resultat social”. Czy Ministerstwo W. R. i O. P. nie powinno podjąć wydawnictwa „Polskiego słownika gwary szkolnej”, któryby dał obraz życia młodzieży nie tylko w szkole obyczajnie ale i w zaborczej? Mysł stworzenia takiego słownika wyszła z łona redakcji „Polonisty” (zeszyt IV, 1932 r., artykuł „O polski słownik gwary szkolnej”), pozostała jednak jak dotąd bez echa.

W wielu wypadkach krępuje nas konwenans i jakiś fałszywy wstyd, których powinniśmy się już wyzbawić. Nie wiemy dlaczego naprzykład „Krakowska Spółka Wydawnicza” zazdrośnie chowa manuskrypt uzupełnień do „Słownika Etymologicznego Języka Polskiego” Brücknera, zawierający „obscoena”, tak pieczołowicie opuszczane w książce. Te materiały posiadają wyjątkową wartość i znaczenie dla badań obyczajowych i kultury.

Cała t. zw. swawolna literatura polska bogata i ciekawa (choćby wspomnieć tylko ze współczesnych autorów dr. — Sylwestra Podolskiego, oczywista pseudonim) leży odłogiem i nikt nie odważy się nią zająć, nie mówiąc już o całym bogactwie staropolszczyzny w tym względzie. Dotąd nawet nie posiadamy choćby tylko opracowania bibliograficznego tego dzieła.

W wydawnictwie, projektowanym przez Tuwima, chodziłoby w pierwszym rzędzie o zgromadzenie materiałów słownikarskich z różnych dziedzin życia, które z czasem stałyby się bogatą skarbnicą dla badaczy kultury i obyczaju. Prace słownikarskie są prawie rzadkością, bowiem wymagają żmudnej, uciążliwej i długoletniej pracy oraz dużych nakładów pieniężnych. Od lat kilkudziesięciu Akademia Umiejętności opracowuje „Słownik Staropolski”, gromadząc niesłychanie bogate materiały, a dotąd jednak z wielu powodów wydać go nie może, choć przy „Słowniku” pracowało już niejedno pokolenie.

Życie w Polsce Odrodzonej wskazywało na konieczność zebrania, częściowo i stworzenia słownictwa zawodowego, to też dziedziną ta przedstawia się nieco bogaciej, choćby wspomnieć tylko wspaniale opracowany, dwutomowy „Polski Słownik Lekarski” prof. F. Gedroycia.

Inicjatywa, rzucona przez Tuwima, jest godna uwagi i paparcia. Powinna ona w pierwszym rzędzie zainteresować Akademię Literatury, mającą w swym gronie miłośników i znawców polszczyzny, jak W. Berent, prof. Kleiner czy Karol Irzykowski. Instytucja ta przecież przede wszystkim dbać będzie o rozwój języka i kultury polskiej.

Br. Wieczorkiewicz

OŚWIADCZENIE — ZAMIĄST ODPOWIEDZI z powodu wystąpienia Dr. A. Czołowskiego

Wobec faktu dezorientowania czytelników, a nawet fachowych historyków (np. prof. Wł. Konopczyńskiego, „Kurjer Warszawski” 22. II. 1934 Nr. 52, str. 4, odsyłacz) przez rzekome daty i dane dr. A. Czołowskiego („Illustr. Kur. Codz.” z 19 II. 1934 Nr. 50 dod. str. II i III) stwierdzam, że: obydwie listy do Pleszczejewa — A. Kisiela i J. Wiśniowieckiego — zostały użyte w mej argumentacji („Pion” II Nr. 5 str. 6-7) najściślej według swej treści, znaczenia i porządku, a według datowania nowym stylem kalendarzowym, tak jak wszystkie fakty moich artykułów.

P. dr. A. Czołowski, wyszukując zupełnie ewidentną, wobec treści i adresu, pomyłkę doku w moim artykule (a mianowicie Nr. 172 zamiast 182), próbuje wmówić, że moim mieć na myśli ów list Nr. 172, nic z kwestją przeze mnie omawianą nie mający wspólnego. Dla zrozumienia różnicy metod postępowania wystarczy stwierdzić, że dr. A. Czołowski w swym poprzednim artykule („Illustr. Kur. Codz.” 22. I. 1934 Nr. 22, str. IV) miał również błąd drukarski (Nr. 84 zamiast 184 dla listu z 20. V. 1648), czego ja — oczywiście — w myśl zwyczajów naukowych nie podkreśliłem, tylko według treści wzięłem pod uwagę ten dokument, który dr. A. Czołowski rzeczywiście miał na myśli.

Metoda p. dr. A. Czołowskiego występuje nieopornie jasnkawiej w innym wypadku. Jakkolwiek data listu Kisiela (A. J. Z. R. III. Nr. 182) do Pleszczejewa nosi nietylko wyraźną datę wydawcy 1 maja 1648 starego stylu (tamże str. 188), ale nawet zawiera datę w tekście samego Kisiela z Hosczy „1648 miesiąca maja odynatcatoho dnia rymskim czysłom” (tamże str. 190), czyli z wyraźnym podkreśleniem nowego kalendarza i daty 11. V. now. st. — nie waha się p. dr. A. Czołowski zacytować powyższe wyrażenie Kisiela z Hosczą, jej odległością do Kijowa i t. d., jako datę „dnia 11 maja st. st. t. j. dnia 21 maja now. st. 1648” („Illustr. Kur. Codz.” Nr. 50 z 19. II. 1934 str. III kol. lewa) Sapienti sat!

Podobnie datę bitwy („kłęski”) pod Zółtemi Wodami podaje jako 16 maja 1648 (tamże str. II kol. prawa).

W salonie sztuki Cz. Garlińskiego (Mazowiecka 8) urządził swą wystawę zbiorową Marceli Słodki — artysta przebywający przez czas dłuższy na studjach w paryskiej centrali. Malarskie dążenia Słodkiego zmierzające do harmonijnego ugodnienia formy z barwą — posiadają niewątpliwie dużo osobliwego wdzięku w swych rozbielonych, perłowato szarych tonacjach zasadniczego kamertonu, w który wtapiają się tu i ówdzie mocniejsze akcenty barwnej pointe'y, rozwiązującej kolorystyczną równowagę obrazu. Nie są to prace wprawdzie żadną rewelacją — lecz przez świadome unikanie wszelkiej pozy i łatwizny stylizacyjnych oraz gwoli niewątpliwie szczerych przeżyć malarskich artysty w momencie krystalizowania się jego wizji twórczej — stanowią bądź co bądź dość rzadki wyjątek w inflacyjnym bilansie „Ecole de Paris”, tembardziej, że skala treści życiowej w tych niewielkich obrazkach nie jest bynajmniej uboga. Pejzaże, martwe natury, studia portretowe, kwiaty oraz liczne sceny z życia rybaków i wędrownych artystów cyrkowych — wszystko to malowane dorywczo, niemal szkicowo, ale z mocnym instynktem wyczuwania wartości formy i koloru, przemawia za autentycznością tej sztuki i jej kierunkową dojrzałością.

Wielu dobrego smaku wykazuje również grafika Słodkiego. Artysta wprowadza tutaj zasadę ekonomii środków rysunkowych, ograniczając je przeważnie do najprostszyc elementów linearnych. Z tej przyczyny, każda kreska ma tu swoje znaczenie, każda wyraża co innego w organizowaniu formy i ogólnej budowy kompozycji. Przeciętny widnie zastanawia się zapewne nad tem — ile wyciężonej pracy nad sobą wymaga ta eliminacja wszelkich nieistotnych i przypadkowych linii i kresek z graficznego rusztowania kompozycji — ile trzeba doświadczenia i poszukiwań zanim artysta stworzy sobie własną metodę w użyciu materiału i dojdzie do jednolitości i organiczności układu. Niestety, nie wszyscy u nas pojmują jak należy, znaczenie i wagę studiów zagranicznych, twierdząc lekkomyślnie, że tego wszystkiego nauczyć się można w kraju. Są to atoli jednostki, które przez uparte oglądanie się poza siebie — nie są w stanie pojąć na czem polega ewolucyjny postęp w doszukiwaniu się nowych treści wyrażających współczesną myśl estetyczną świata.

W.

Bitwa pod Zółtemi Wodami rozpoczęła się atakiem Chmielnickiego, a niedługo potem otoczeniem młodego Potockiego przez Chmielnickiego i Tuhaj-beja, według danych niewątpliwych i szczegółowych, w środę dnia 29 kwietnia 1648 (relacja Belchackiego u Rawity-Gawronskiego: Sprawy i rzeczy ukr. r. 1914 str. 110; relac. w Zap. Tow. Szewcz. t. 144/145 z r. 1926 str. 211; Hruszewski Ist. Ukr. Rus. VIII/2 — 1922 str. 183), które to walki toczyły się bez przerwy do kłęski ostatecznych grup w dniu 14 na 15 maja. Walki skończyły się 15. V. rano (Zap. Tow. Szewcz. t. 144/V str. 210 i 212).

List więc Kisiela do Pleszczejewa o buntach kozackich i bitwie pod Zółtemi Wodami został wysłany (z wymienieniem miejsca bitwy!) w 13 dni po jej rozpoczęciu, o czym zresztą wysłano Kisielowi wiadomość 2. V. 1648 (A. J. Z. R. Nr. 182 str. 189). List zaś Jeremiego Wiśniowieckiego, datowany starym stylem (por. również Tomkiewicz Jer. Wiśn. str. 184), został wysłany 20 maja nowego stylu 1648, a więc w 22 dni po rozpoczęciu bitwy pod Zółtemi Wodami, co określiłem w mym cytowanym artykule najzupełniej ściśle słowami: „Wiśniowiecki... w 3 tygodnie po rozpoczęciu walk pod Zółtemi Wodami udaje... przed wojewodami moskiewskimi, że nie wogóle nie wie, ani nie slyszal o jakichs buntach kozackich, czy Chmielnickiego”.

List Wiśniowieckiego przesłany został do Moskwy 21. V. st. st., czyli 31. V. now. st. 1648 (zob. fotogr. „Pion” II Nr. 5 str. 7).

Czy ze strony p. dr. Czołowskiego zachodzi cały szereg pomyłek „bona fide”, czy też są to usiłowania wprowadzenia w błąd czytelnika zapomocą dat, — rozstrzygnie niewątpliwie każdy czytelnik, który zada sobie trud zestawienia twierdzeń mego artykułu („Pion” II Nr. 5 str. 7/8), oraz wywodów p. dr. Czołowskiego („Illustr. Kur. Codz.” z 19. II. 1934 Nr. 52 str. 2 i 3) z numerami 172, 182 i 184 w Akty ...Jużnoj i Zapadnoj Rossii t. III r. 1861.

W imię naukowe „fair play” proszę o powtórzenie istoty mego oświadczenia przez zainteresowane dyskusją pisma.

Warszawa, dnia 22. II. 1934.

Olgierd Górka.

NA SCENACH STOLICY

„Marja Stuart” — tragedia w 5-ciu aktach Fryderyka Schillera na scenie Teatru Narodowego. Przekład wolny St. Miłaszewskiego. Inscenizacja i reżyserja K. Borowskiego. Dekoracje St. Jarockiego. (Dn. 14.II. 1934 r.).

Jeżeli „Kupiec Wenecki” jest zagadnieniem sceniczną baśnią, „Marja Stuart” Schillera stawia na porządku dziennym inny, niezmiernie doniosły, problem teatralny — wiadomości historycznej. Szekspir, Schiller, Goethe, Hugo, Kleist, Hebbel, Strindberg — wystarcza wymienić te tylko nazwiska, by sobie uprzytomnić, jak wielką rolę odgrywa dramat historyczny w repertuarze klasycznym. Przykłady zaś choćby tylko Shawa i Brucknera dowodzą, że literatura współczesna poszukuje nowych rozwiązań w tej dziedzinie, że nie zamierza bynajmniej z tematów historycznych zrezygnować, że jednak myśli je postrzekać inaczej, niż oleodruk sceniczny czy spłowiele wspomnienie epoki.

W literaturze i teatrze współczesnym wiadomości historyczne ma sens w jednym z dwu znaczeń: albo jako odtworzenie rzeczywistości, jako podanie prawdy historycznej, albo też jako pretekst do rozważenia zagadnień politycznych współczesnych. Pierwszy typ teatru historycznego nasyci ciekawość naszego pokolenia i jego potrzebę dydaktycznego utylitaryzmu, który jest charakterystyczny dla okresów dojrzewania nowych warstw społecznych. Teatr jako nauka historii i jako konkretna rzeczywistość, niefałszowana przez artystę — oto z pewnością idealna nasza epoka, która wydała nowy typ wiadomości historycznej — reportaż czy faktomontaż, choć oczywiście niższe tego typu wobec dzieła prawdziwie literackiego odczuwa przecież najzupełniej. Lub też teatr — jako scena rozgrywek ideologicznych i politycznych współczesności, jako teren uświadamiania społecznego zagadnień, które stają się dopiero w oczach naszych historii i które najłatwiej i najplastyczniej zinscenizować na charakterystycznej, z dziejów zaczerpniętej analogii. W tym wypadku fakty historyczne nie tylko mogą być podawane bez naukowej ścisłości, ale ponadto muszą być ujmowane i interpretowane zgodnie z tezą autora. Ale i tu wkraczający element fikcji literackiej, jest raczej zagadnieniem treści niż formy, raczej momentem politycznym, niż ściśle artystycznym.

Te „dezyderaty” epoki, wynikające z jej potrzeb raczej, niż przekonań artystycznych, zjawiają się na tle zjawiska, które doniedawna były głośne pod nazwą kryzysu repertuaru klasycznego. Bo właśnie klasyczny dramat historyczny nie dawał widzowi teatralnemu tych dwu elementów: ściślej historycznej prawdy, oraz aktualnej problematyki politycznej. Ze to jednak jest możliwe, że nie tylko utwór napisany na gorąco pod wrażeniem chwili, jak „Cyrułik sewilski”, może odegrać niepoślednią rolę polityczną, lecz również dramata dawnych epok, świadczy ostatni głośny sukces Szekspiro夫斯基 „Korjolana” w Komedji Francuskiej, gdzie odegrał on rolę bezpośrednio polityczną, za pośrednictwem dalekiej analogii faktów i zdarzeń.

Historyczny dramat Szekspira czy Schillera niepokoi nas nieścisłością podawanej wersji historycznej, zmusza do poszukiwań w bibliotece bezpośrednio po przedstawieniu sprawdzianów, do jakiego stopnia ten czy inny szczegół został przez autora nieścisłe lub wręcz fałszywie przedstawiony, ale jako rekompensatę niebyłej daje świetny dramatyzm tych dzieł, ich patos językowy i dekoracyjność historyczną, której teatr typu romantycznego, wywodzący się od Szekspira, używał z takim poczuciem efektu. Tylko że Schiller, mistrzowski niewątpliwie wersyfikator i liryczny teatr chwili, porywający, jako dramaturg historyczny jest raczej rezonerem i dialektykiem bardzo monotonna. Jego dojrzałość dramatopisarska bynajmniej nie jest równoznaczna z artystycznym postępem — przeciwnie, jest on najbardziej porywający w dramatach swej młodości, w „Zbójcach”, i „Intrydze i miłości”, oraz tym jednym dramacie historycznym, który w okresie jego młodości został napisany, t. j. w „Don Carlosie”. Natomiast „objektywne”, programowo historyczne jego utwory późniejsze, a więc „Walenstein”, „Marja Stuart”, „Dziewica Orleańska” i „Wilhelm Tell” mimo mnóstwa sym-

patycznych wspomnień, łączących specjalnie scenę polską z temi utworami, są przecież dość nudną retoryką, w której iskra natchnienia rozbłyska stosunkowo rzadko. Szczególnie „Marja Stuart” uderza nas od tej strony, nas, którzy we własnej literaturze posiadamy utwór tak bardzo młodzieńczy, niedojrzały i niedoskonały, ale przesycony wzbierającym natchnieniem i prawdziwą kapryśnością — jak „Marję Stuart” Słowackiego.

Fundamentem przedstawienia „Marji Stuart” w Teatrze Narodowym jest piękny przekład p. Miłaszewskiego. Łatwość wersyfikowania, która cechuje p. Miłaszewskiego w stopniu zadziwiająco i która częstokroć odbijała się na jego twórczości oryginalnej niekorzystnie, w pracy tłumacza świeci niewątpliwym sukcesem: słuchając jego płynnego, scenicznego i oryginalnego wiersza odczuwa się żal, że jak dotąd, p. Miłaszewski poświęca swe talenty tłumacza, dramaturgom wybitnym wprawdzie, lecz bynajmniej nie największym, jak Zorilla i Schiller, gdy mógłby się zasłużyć teatrowi polskiemu niepomocnie, przekładając trzon wielkiego dramatu świata — Szekspira, Calderona i Goethego.

Inscenizacja „Marji Stuart” była udana przedewszystkiem od strony dekoracyjnej. To, co tym razem zrobił p. Jarocki, rekomenduje go na scenie warszawskiej jaknajlepiej. Umiał być prosty, nowoczesny, dyskretny, a zarazem dość skromnymi środkami na kameralnej racji scenie poczucie monumentalności. P. Borowski zaś wydobyl raczej słowo dramatu, tonując grę wykonawców z powołaniem.

Wielką rolę tytułową, ongiś ulubioną Heleny Modrzejewskiej, wykonała p. Marja Malicka z dużym powodzeniem. Nie było w Marji Stuart Malickiej tego gorącego dramatyzmu, który cechował jej Joannę d'Arc w sztuce Shawa, ale liryzm był pełen piękności i wyrazu, scena zaś ostatnia przed kaźnią należy do najlepszych momentów jej artystycznej twórczości.

Druga królowa w sztuce — wielka Elżbieta, której imię w wieki związane zostało z epoką, i która potraktowana została przez Schillera ze zbyt już wyraźną nieżyłościwością, nie jest już tak efektowna, jak rola tytułowa. Jest i mniej efektowna, i bardzo trudna. Prowokuje wykonawczyń do czynienia z niej królowej „en pantouffles”, sprządzając konflikt polityczny do zawiści dwu kobiet na terenie urody i powodzenia u mężczyzn. P. Pancerzewiczowa nie uniknęła całkowicie tego właśnie tonu — jej Elżbieta wyglądała wspaniale, nie posiadała jednak wielkości, chwilami zaś wpaadała w ton konwencyjonalnego „czarnego charakteru”. A przecież nawet u Schillera postać ta jest — jeśli już nie wielką racją stanu, to przynajmniej wielką, prawdziwie renesansową pychę kobiety, która włada wolą i życiem swoich poddanych.

Z pośród wykonawców ról męskich konsekwentnym przeprowadzeniem postaci na plan pierwszy wybił się p. Buszyński jako surowy baron Burley. Oczywiście wiersz mówił najpiękniej i najświetniejszą postawę miał p. Leszczyński, grający lorda Lestera. Zabrało mu tylko jednej, niezmiernie dla tej postaci ważnej cechy — wynikającej ze strachu i słabości charakteru przebiegłości. Widz miał raczej wrażenie pechowca, który z najwyższym trudem przemija się poprzez rafy życia dworskiego, niż mistrza intrygi i taktyki dworskiej, jakim jest Lester. Powód leży w scenie z Elżbietą, gdy Lester przynosi wieść o śmierci Mortimera — brzmieć tam powinny nuty triumfu i radości z własnego ocalenia o wiele gwałtowniej, jak przystało na moment decydujący w walce, w której stawką w tych czasach była głowa lub wolność osobista.

Z pośród innych wykonawców uwagę zwracał wysiłek p. Sawana jako Mortimera. Nie widzieliśmy jeszcze tego młodego artysty w roli równie odpowiedzialnej, i z której, licząc się z jego możliwościami, wyszedłby raczej zwycięsko. Dziwna jest jednak u młodego pokolenia aktorskiego oschłość w traktowaniu słowa: u p. Sawana jest to jeszcze bardziej widoczne, niż u innych jego rówieśników.

„Ivar Kreuger” — 3 akty Jerzego Tepy na scenie Teatru Letniego. Inscenizacja i reżyserja Zb. Ziemińskiego. Dekoracje M. Różańskiego. Ilustracja muzyczna J. Maklakiewicza. (Dn. 13.II. 1934 r.).

W prologu do reportażu o Kreugerze daje p. Tępa swoje wyznanie wiary: chodzi mu o teatr faktów, nie zaś o teatr psychologii. Przy tej sposobności czyni oczywiście uogólnienie, odsyłając teatr psychologiczny do bezpowrotnej przeszłości. I oto rezultat takiej programowości jest więcej niż smutny: fakty, podane przez p. Tępę są natury sensorycznej i stoją na poziomie wiadomości prasy brukowej, natomiast psychologia oczywiście jest, ale niezmiernie prostacka i fałszywa. Jeżeli trudno dyskutować z autorem „Kreugera” na temat podanych przez niego faktów i hawić się w czcze domysły, czy istotnie wersja o podwójnym Kreugerze jest prawdopodobna, o tyle o prawdzie psychologicznej można mówić przy każdej, zdarzającej się co chwila, sposobności, i konfrontacja taka z najbardziej elementarnym poczuciem duszy ludzkiej i jej zewnętrznych przejawów jest dla p. Tępy wysoce kompromitująca. Bowiem reportaż ogra-

niczający psychologię do minimum może być interesujący — reportaż zaś budzący się množnością zupełnego jej wyeliminowania i brnący w dzungłę nieprawdopodobieństw, wkracza na teren bredni i zupełnej bezwartościowości.

Wysiłek inscenizacyjny p. Ziemińskiego godny jest najwyższej sympatii — niestety jednak w tym wypadku był czemś związanym nieorganicznie z utworem i nadawał przedstawieniu ton pretensjonalności.

Rolę tytułową dwu Kreugerów grał p. Węgrzyn. Jako „prawdziwy” Kreuger był nieinteresujący, jako „fałszywy” miał w sobie więcej momentów patologicznych, niż poprzednio, gdy grał człowieka stojącego u wrót pomieszczenia zmysłów. Trudno się również z nim zgodzić na zupełne niemal poniechanie środków aktorskich, mogących stworzyć dla wiada jakąś zewnętrzną różnicę obu postaci: zupełna identyczność jest ideałem, gdy samotwór gra dwu artystów, natomiast identyczność w wykonaniu jednego i tego samego wykonawcy świadczy raczej o nadmiernym upraszczaniu zadań aktorskich.

W. Z.

TEATR W OJCZYŹNIE SOBIESKIEGO

Zdaje się, że autorzy najrozmaitszych „Weltgeschichte” zaczynają wpisywać się na gwalt do cechu Witkacowskich „splyciarzy” naukowych.

Wyszła niedawno w Wiedniu drukowana bardzo ładnie książka prof. Josepha Gregora „Weltgeschichte des Theaters” (Phaidon-Verlag Zurich 1933), którą w oknach księgarń warszawskich nieraz można dostrzec. Są w tej osiemsetstronicowej książce opisane dzieje teatru „wszystkich czasów i narodów”. Jest na trzech stronicach podana bibliografia teatralna, spis sztuk, wykaz nazwisk, bibliografia trzystu ilustracji zdobiących książkę, jednym słowem wszystko czego naukowa dusza zapagnie. Autor zastrzegł się, że jest to tylko zarys historii teatru. Ale ten „zarys” za daleko Gregora zaprowadził... Wydawcy widać „uchytrzyli się” wyzyskując, ustaloną dobrą opinię w niemieckim języku pisanych dzieł naukowych i popularnonaukowych, dla swych finansowych celów i popelnili poprostu skandal.

Na osiemset ładnych stronicach tej książki znalazł się też gościnnie kącik trzydziestu wierszy (dosłownie!) dla polskiego teatru — między Bułgarią a Węgrami. (Nic tu nasza propaganda nie pomoże „musi mieć zagraniczny „uczony” dobrą wolę i choć trochę sumiennosci naukowej!). Zalatwia się z nami p. Gregor krótko i wężłowato. Aż do dwiędziesiątych lat wieku osiemnastego, kiedy Polska była wolna i silna, miała przez długi czas bogatą literaturę romantyczną (ani jednego nazwiska, ani jednego tytułu autor nie podaje!) ale bez teatru. Wogóle do czasów Kropińskiego nie wiadano w Polsce co to teatr! Niech mu tam, my Polacy jesteśmy łagodni, ale cierpliwość ma też swoje granice, bo oto licząc na ową słowiańską łagodność wygarnia nam profesor trzech klasyków dramaturgów Ludwika Kropińskiego, Alojzego Felińskiego i poczciwego Franca Karpińskiego. Gdyby mógł Karpiński to przeczytać rozplakałby się z radości, że zaliczono go do czołowych tragików klasycyzmu. Bogusławski wogóle dla p. Gregora nie istnieje. Jednym słowem teatr zaczął się od tej trójcy. Następuje pod naszym adresem kilka komplementów i dalej kropi czcigodny prof. dr. o naszych romantykach dramatycznych. Jest ich godnych wymienienia dwu: Korzeniowski i Magnuszewski oraz komedjopisarz hrabia Fredro senior. Przyszła niewola (tu lekkie westchnienie) i wali dalej: w zaborze rosyjskim powstaje w drugiej połowie 19 wieku bogata narodowo uświadomiona produkcja dramatyczna, więc dramata J. Szujski, St. Kozłowski, A. Nowaczyński, Zapolska, Wyspiański i Przybyszewski, komedję reprezentuje Fredro młodszy (chyba Jan Aleksander). (Wszystko to się pchało widać do tej kongresowy, bo to i wolność była stosunkowo największa i car subsydja dawał...!)

Mógł sobie prof. dr. Gregor zaangażować do współpracy jakiegoś bezrobotnego Polaka z domowym wykształceniem, napewno by więcej, i nie z takimi bykami, o polskim teatrze napisał, za marny nawet grosz...

Schämen sie sich nicht mein lieber Herr Professor? Tadeusz Makarewicz

POLONICA

JESZCZE NIEMCY A POLSKA

Nie bez związku z Międzynarodowym Kongresem Nauk Historycznych w Warszawie wyszła książka p. t. „Deutschland und Polen” pod redakcją Alberta Brackmana. W zbiorowym tem dziele, które ma bezstronnie oświetlać stosunki polsko-niemieckie w przeszłości, a w istocie w delikatny sposób chce pokazać, ile kultura polska ma zawdzięczać niemieckiej, znajdujemy dwa artykuły dotyczące literatury. Max Vasmer, profesor uniwersytetu w Berlinie, omawia syntetycznie wpływy niemieckie w literaturze polskiej, wyraźnie w duchu tendencji cełującej książkę. Artykuł, oparty na źródłach polskich, przeniesienia niewątpliwie zresztą, ale tylko na niektórych odcinkach i w niektórych epokach wpływ niemiecki, a nadto nie wolno jest od niedokładności. Wiele ciekawego od pedantycznego nieco artykułu Vasmera, jest artykuł Józefa Nadjera, profesora uniwersytetu w Wiedniu p. t. „Adam Mickiewicz, Deutsche Klassik, Deutsche Romantik”. Z właściwą uczynnością austriackim elokwencją usiłuje autor poddać rewizji nie które ustalone sądy. Przesuwa — za przewodem niektórych nowszych prac polskich — oddziaływanie literatury niemieckiej na polską o kilkadziesiąt lat wstecz, ale na własną już rękę przypisuje przesadne znaczenie znajomości Herdera w rozbudzeniu się zwrotu do ludowości i przeszłości na początku XIX wieku. Rewizjonizm autora dotyczy głównie stosunku Mickiewicza do literatury niemieckiej: sądzi on, że twórczość Mickiewicza należałoby wiązać nietylko z niemiecką literaturą klasyczną, co z niemieckim romantyzmem. Wywody autora, choć rzucające niekiedy nowe światło na znane fakty, zawieszona są w próżni. Smiały jego konstrukcją brak potwierdzeń faktycznych, jak przedewszystkiem poszukiwaniu wspólności między Mickiewiczem, a niemieckimi poetami pochodzenia wschodnio-pruskiego na podstawie tajemniczej zasady środowiska: szukanie wspólnych korzeni w przynależności ich do obszaru bałtyckiego jest poetycką fantazją autora. A nie brak takiej fantazji i w innych „historycznych” tezach autora.

OSTATNIE ECHA ROCZNICY GOETHEGO.

B. minister J. Twardowski, ogłosił w ostatnim roczniku „Jahrbuch der Goethe-Gesellschaft” obszerny artykuł o stosunku Goethego do Polski i Polaków do Goethego. Autor ogranicza się do częściowego zreferowania dawniejszych przyczynków do tego tematu; istniejących luk nie zapełnia; obfite zestawienia bibliograficzne grzeszą niejednokrotnie brakiem krytycyzmu. Zostały również pominięte, jakie przyniósł rok jubileuszowy Goethego. Rzecz pisana bez większych pretensji naukowych była potrzebna, by usunąć błędne informacje na ten temat G. Karpelesa. Artykuł Twardowskiego jest jednym z niewielu, jakie pojawiły się na temat stosunku Polski do Goethego z okazji stulecia śmierci wielkiego poety w prasie zagranicznej. Poprzedziły go w r. 1932 rozprawa dr. Ciechanowska i z Krakowa p. t. „Die Anfänge der Goethe — Kenntnis in Polen” w naukowym piśmie praskim „Germanoslavica” i syntetyczny szkic teje autorki „Poland and Goethe” w londyńskim dwumiesięczniku „The Slavonic and East European Review”. Odczyt prof. Wukadino wica o stosunku świata słowiańskiego do Goethego w poprzednim roczniku goethowskiego „Jahrbuch” i prof. z Grazu J. Matla na ten sam temat w „Jahrbuch für Kultur und Geschichte der Slaven” uwzględniają Polskę w niedostatecznym stopniu.

OD SŁOWA DO SŁOWA

NA BERDYCZÓW

Ilż to razy odradzali mi przyjaciółowie polemik z p. Piaseckim. Że nie warto, że to przeciwnik „nieciekawy”. Byłem innego zdania. Już mniejsza o tę „ciekawość” czy „nieciekawość” p. Piaseckiego. Interesował mnie przede wszystkim jako *młody endeck*. Poglądy których broni, to są poglądy *młodego pokolenia* endeków. To właśnie mnie zajmowało. Cokolwiek możnaby powiedzieć o umysłowości p. Piaseckiego, pewne jest jedno: że na endeckim bezrybiu to jedyny chyba człowiek młodego pokolenia z jakimiś pomysłami, z jakąś inteligencją, człowiek, z którym ostatecznie można gadać. Cóż więc dziwnego, że się nim zajmowałem.

Ostatnio p. Piasecki pogniwał się na mnie i proponuje mi, bym pisał na Berdyczą. Propozycja nie jest uprzejma, ale adres pewny. Berdyczą — to małe żydowskie miasteczko. A od Żydów do A. B. C. droga — jak wiadomo — krótka. List adresata dojdzie. Napewno. A jeśli nie przeczyta — to pal go djabli. Nie o niego chodzi. Piśzę dla czytelników.

Czem kierowałem się w moich „tropieniach”, które tak irytują publicystę A. B. C.? Poczuć obowiązek publicysty. Widok bowiem stronnicza, mającej pełną gębę frazów i szkalującego najplugawszymi insynuacjami każdego człowieka, współpracującego na jakimkolwiek polu z obozem rządowym (znane kawalki: „żłób”, „wysługiwanie się”, „pisanie na komendę” i t. p.) jest czemś tak obmierzłym, tak sprzecznym z dobrym obyczajem prasowym, że protest staje się obowiązkiem. Tem więcej, gdy się widzi, jak ci ludzie nie wzdragają się przed żadną *gołosłowną* insynuacją (gołosłowną, bo opierającą się tylko na domysłach, nie znając bowiem pobudek moralnych, skłaniających poszczególne osoby do takiej a nie innej postawy ideowej), równocześnie stają się przeczuleni jak młoda mimozą, kiedy im się wytknie ich własne niekonsekwencje, obłudę, interesowność, lub zgola błażeński stosunek niektórych luminarzy endeckich do głoszonych hasel. Gdy się to w dodatku uczyni opierając się na faktach w sposób dyskretny, taki jak oni nie lubią, kiedy im patrzę na palce.

Pan Piasecki nie zawahał się napisać, że moje zarzuty są nieuchwytnie i przeto bezpoczne. Nie, Aniele. Ja tylko w słowie drukowanym poprzestaję na aluzjach i napomkieniach zrozumiałych dla wtajemniczonych, a nie demaskujących drażliwych spraw osobistych przed czytelnikiem. Natomiast w życiu, w stosunkach *osobistych* jestem zwolennikiem jaknajwiększej uchwytności. Jeśli chodzi o tematy poruszone w jednej z ostatnich dyskusji, to właśnie tak się złożyło, że osoba zainteresowana, (czyż mam mówić wyraźniej?) otrzymała odemnie aide-memoire, obiecujące zupełną uchwytność w razie zbyt nieoglednych przeciw mnie wypadów polemicznych.

O niewymienianie pewnych nazwisk p. Piasecki niesłusznie rości pretensje. A już zupełnie nieuzasadnione jest przypuszczenie, że przyczyną tego niewymieniania ma być jakaś siła magiczna „zakazanego” słowa, której się ludzie boją prowokować. Znam wyrazy nie nadające się do druku, a w życiu potocznie używane raczej w wyjątkowych sytuacjach, wyrazy, które jednak nie budzą ani grozy ani nie przerażają nas swą siłą magiczną. Nawet mam wrażenie, że p. Piasecki je sobie przypomina. Słowem — uogólnienie zbyt pośpieszne.

A teraz sprostowanie. Istotnie, zaufałem pamięci i nie sprawdziwszy obu tekstów („adwokata” — „teoretyk”) wytknąłem p. Piaseckiemu niesłusznie ich nieidentyczność. Przyznaję. Naturalnie — jak p. Piasecki to doskoŃale rozumie — moje niedopatrzzenie nie zmienia bynajmniej zasadniczej linii wywodów i mojej charakterystyki chwytów polemicznych p. Piaseckiego. Ale chętnie podaję mu sposobność do dyskwalifikowania mojej pracy krytyczno-literackiej na podstawie owej omyłki i nieniejszego jej stwierdzenia. To będzie właśnie chwyt i argument par excellence piasecki.

No, a skoro tak skrupulatnie załatwiamy porachunki, to już do końca. Zarzuciłem dziennikowi A. B. C., przedruk słynnego posłowa Céline’a w „Podróży do kresu nocy”, powieści, którą następnie w 3ch pompatycz-

nych artykułach tenże dziennik zgromił, wyklął, i ostrzegwał przed nią swych czytelników jako przed zatrutym źródłem zepsucia, gangreną moralną i t. d. Za przedruk posłowa (24.VIII.1933) wydawca zapłacił pismu a p. Piasecki redaktor „literacko-artystycznego A. B. C.” nietylko stwierdza to (A. B. C. Nr. 18. II. b. r.), ale pisze w dodatku: „bylibyśmy tacy naiwni, żeby za to od wydawcy nie brać, skoro inni biorą?”. — Skąd ja znam to rozumowanie? — Aha, prawda, z biuletynu pewnej poznańskiej księgarni katolickiej, która czelnie sprzedawała dzieła antykatołickie, i usiłowała udowodnić, że to jest w porządku, bo przecież te same dzieła można dostać w innych księgarniach...

RÓŻOWA KUKUŁKA PROSI O GŁOS

Do p. J. E. Skińskiego

Opisał Pan niedawno w Pionie Poznań współczesny, ten któryśmy razem przeżywalni, nad którym razem dyskutowaliśmy. Nie potrzebuję Panu mówić, z jaką przyjemnością Pana czytałem. Rysuje Pan zawsze w pejzażu to co stanowi jego głęboką istotę, pociągającymi dobrze zastrzeżoną ołówką, linjami płynnymi, tak odmiennymi od tej niemieckiej krechy, która jest nam obu równie daleka. I nazwał mnie Pan „człowiekiem przemilnym”. Doprawdy niewiadomo, co na tak miły komplement odpowiedzieć! Chyba tylko z konfuzją się ukołnić, i szczerze powiedzieć: après vous cher ami, après vous!

A jednak mam z Panem na pieńku o ten artykuł. Skrzywdził Pan Różową Kukulkę.

Zakładaliśmy ją wspólnie. Po jednym czy dwóch wieczorach przestał Pan ją odpowiedzieć z powodów osobistych. może słusznych może niesłusznych, i jakkolwiek nasze przyjazne stosunki w niczem się przez to nie zmieniły — jak też się, mam nadzieję, nigdy nie zmienia — usposobił się Pan niechętnie do dzieła mych współpracowników. To nastawienie podyktowało Panu, w Pańskim artykule o Poznaniu, nietylko zarzuty, mojem zdaniem niesłuszne, ale i teorie o które bardzo możnaby się spierać.

Dlaczegoż naprzykład „kabaret” (przyjmijmy chwilowo, że ta nazwa, która dziś nabrała zupełnie innego znaczenia, może się odnosić do Różowej Kukulki) „powinien z urzędu wyszycić panie od św. Wincentego a Paulo”? Sądzę, że poza jego artystyczną klasą, główną wartość takiego, jak Różowa Kukulka „kabaretu”, cała jego ogromna żywotowa wartość, ma swe źródło w nieograniczonej szczerości myśli i słowa. Tak jak nikt z nas, cyganów z Kukulki, nie będzie udawał, że zapomina jakie są prócz słuŃ inne do biskupa rymy, tak samo nikt z nas nie byłby szczerym, wyszydząc miłosierdzie. Nasze sumienie artystyczne zadowolone było w pełni, gdyśmy poświęcili wielkotygodniowe przedstawienie pieśniom gondoljerów z „Jerusalem liberata”, lirykom religijnym polskim, starofrancuskim legendom, a dochoł z tego wszystkiego — miłosierdziu.

Czy to grzech ze strony Różowej Kukulki, w dzisiejszych czasach programowo głośnić ufnosć w życie, ufnosć we własne państwo? Jeżeli to jest „pobrzękiwanie medalikiem”, to trudno! Są ludzie, którzy noszą medaliki, ale i tanczą. Medaliki wtedy pobrzękują. Pobrzękują właśnie na ludziach d tańca i do różańca! Czy Botrel nie pobrzękiwał medalikami z Paimpol? Więc Chat-Noir nie był kabaretem? Chyba jeśli kto, to Pan, nie uważa zapewne monachyjskich Scharfrichterów za kanon piosenkarstwa.

Wielka szkoda, że w chwili gdy Pan o Kukulkę pisał, leżał jeszcze nierozpakowany w kufurze ten Almanach, który Pan wspomina jako „sprośną lichotę” reklamowaną przez „najczcigodniejszy poznański organ katolicko-narodowy”. Gdyby Pan to wiadnictwo miał pod ręką, sprawdziłby Pan, że jest to almanach K l u b u S z y d e r s c ó w p o d K a k t u s e m, nie mający z Kukulką nic wspólnego, a przeciwnie, zawierający pod jej adresem uszczypliwie dościniki. Grzechy Kaktusa, konkurencyjnej organizacji, rzeczywiste, czy nierzeczywiste, kładzie Pan na karb Kukulki? Za słuszarza komplementa, kowal placi alimentu?

Możnaby też dyskutować, czy rzeczywiście, tak jak Pan pisze, minął „czas marginesów”, „epoka smaków, dopisków, uroczych ciekawostek”. Możnaby o tem dyskutować w naszej epoce, stojącej pod znakiem Prousta, Joyce’a, Pirandell’a. Ale toby mój list zbyt przedłużyło. Możemy się nie bał tą dyskusją cierpliwości Pańskiej nadużyć, drogi Panie Emilu. Ale spostrzegam się ile miejsca w Pionie ma prozą zajętem. Wydaje mi się to za wiele, tak na oko. A l o e i l, jak mówią w Paryżu.

Ludwik Puget

Przyznaję, że mimo wszystko nie oczekiwałem takiej odpowiedzi od A. B. C. Myślałem, że jednak pójdzie to innym trybem. Że jeżeli już odpowiedzą, to zasłaniając się omyłką, niedopatrzaniem, a bodaj rzetelnie przyznając się do winy. Ale A. B. C. poszło w myśl „świętej” i dobrze znanej zasady: nigdy się nie przyznawać do błędu. Okazało się, że w oczach przedstawiciela *młodej endecji* takie właśnie postępowanie jest nienaganne, że wolno *brać pieniądze za reklamowanie książki*, którą kwalifikuje się jako złą, szkodliwą, i godną potępienia. Taka jest ich etyka. Teraz wiemy. Ale czy to czasem nie jest etyka Szajłoka, którą p. Piasecki tak gorąco napiętnował? — Istotnie, po tem handlowym wyznaniu, „więcej szpad się krzyżować nie będzie”. Napewno. Dziennikiem „ABC” możemy się zajmować jako okazem psychologii geszeciańskiej. Jako przeciwnikiem — nigdy. Szpada byłoby tu bronią zgołą nieodpowiednią.

J. E. Skiński

na nuda. Nuda, mimo usiłowań ożywienia, mimo że buławę generalissimusa dźwierzyl artysta niepospolity i człowiek, tak na co dzień, naladowany dynamitem dowcipu, słowem brylant nie człowiek, p. Ludwik Puget.

No i dlaczegoż jednak z tą Kukulką „nie wyszło”? Czy z powodu: nudna epoka? Chyba nie. Epoka jest wcale ciekawa i nie powiedziałbym, żeby się ta zupełnie nie nadała do satyry. Ciekawsza, bogatsza, bujniejsza stokroć niż ta, na której zerwał „Balonik”.

A jednak „nie wyszło”. Widać kabaret dziś nie chwytą, widać człowiek szuka innych dróg wypowiedzi, innych podniet, inaczej odpowiada na zapytania które mu życie zadaje. Poprostu: c a s z y s i ę z m i e n i l i, jak mówią u nas na Powiślu.

J. E. Skiński

W związku z licznymi zapytaniem naszych czytelników komunikujemy, że odpowiedz p. Olgierda Górki na artykuł Dr. Wł. Tomkiewiczza p. t. „Jeszcze o kniaziu Jaremie” ukaże się w najbliższym numerze „Pionu”.

NOWE KONKURSY LITERACKIE

Wybitnym przejawem ożywienia życia literackiego jest szereg konkursów, rozpisanych ostatnio przez prasę i samorządy. Konkursy te nie są wynikiem przypadku, wpływają bowiem z wycucia konjunktury na polskim rynku literackim. Ujawnia się bowiem, jak to nieraz już zaznaczaliśmy, głód dobrej, współczesnej książki polskiej. Sprawdzeniem tej tendencji są biuletyny wydawnictw, ruch w czytelnictwie i zainteresowanie dla wszelkiego rodzaju debiutów prozatorskich.

Duże znaczenie dla wydobycia nieznanych talentów może mieć konkurs jubileuszowy „Ilustrowanego Kurjera Codziennego”, konkurs na powieść polską, bez ograniczenia tematu, o dość wysokich nagrodach pieniężnych (pierwsza nagroda 5.000 zł.). W jury konkursu zasiadają: Karol Hubert Rostworowski, prof. Stanisław Pigoń, Kazimierz Czachowski, dr. Józef Flach i Ludwik Szczepański. Materialem orientacyjnym dla konkursu krakowskiego może być przebieg innego konkursu: Kurjera Porannego w Warszawie. Kurjer Poranny obrął inną technikę, ogłaszając co tydzień nadesłane powieści w specjalnym dodatku.

Jak widać usiłuje prasa ostatnio w szybkim tempie odrobić swe zaległości i zaniechania wobec powieści polskiej.

Równocześnie mają okazję dla emulacji młode talenty pisarskie na terenach: dramatu, noweli i poezji. Konkurs na sztukę o Legjonach, z upoważnieniem zarządu m. Krakowa ogłosił Zw. Zaw. Literatów w Krakowie (miasto najświetniejszych tradycji przoduje więc na terenie „wysciugu pracy” literackiej). Nagroda wynosi 5.000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzi zarówno przedstawiciele samorządu krakowskiego, obok reprezentantów teatru, literatury i publicystyki krakowskiej, z dr. Kaplickim, prez. Krakowa, K. H. Rostworowskim i K. Kumanieckim na czele.

Jeżeli uzupełnimy tę listę konkursem na nowelę, rozpisany przez miesięcznik „Tęcza” w Poznaniu i zapowiedzianym przez „Wiadomości Literackie” konkursem poetyckim — otrzymamy rozległy obraz ruchu, który w swych wynikach winien przynieść znakomite ożywienie życia literackiego i wzmożenie zainteresowań czytelniczych w społeczeństwie.

Niemiecka literatura emigracyjna w Paryżu

Paryska Librairie du Luxembourg organizuje szereg wieczorów autorskich pisarzy niemieckich będących na emigracji. Cykl ten rozpoczął młody pisarz, Gustaw Regler, autor głośnej książki, poruszającej zagadnienie katolicyzmu „Der verlorene Sohn”, wygłaszając fragmenty nowej swej powieści.

W najbliższym czasie w Librairie du Pont de l’Europe odbędą się wieczory autorskie Rotha, Feuchtwangera, A. Doeblina, Henryka Manna oraz F. von Unruh. Projektowany jest również wieczór ku czci Tollera. W Teatrze Vieux Colombier w styczniu wystawiony będzie dramat Wassermana „Lukasdis”. Zmarły niedawno w silie wieku pisarz niemiecki cieszył się dużym uznaniem we Francji, gdzie doznał się licznych przekładów swych utworów.



rys. Z. Szpingera

LUDWIK PUGET

Ale uwieść i potem jeszcze dworować sobie i wymawiać to naprawdę nieladnie! Pan Puget przecie wie, jak żalowałem mojej lekomyślności. Romans przerwałem od razu, choć mi się serce szarpało.

Wyznać muszę jeden jeszcze grzech mój. Otóż istotnie pomieszałem ptaka z rośliną, kukulkę z kaktusem. Nigdy nie celowałem w naukach przyrodniczych. Tym razem to się odbiło na historii, i to w kwestji tak dośnioślej jak dzieje dwóch kabaretów, gdzie występowały te same osoby, nie wyłączając założyciela i wodza Kukulki p. Ludwika Pugeta, gdzie popisywał się swą prowincjonalną pornografją ten sam p. A. M. Swinarski, gdzie przy (nie tych samych coprawda) stolikach siadywało to samo towarzystwo. Błąd jest groźny, przyznaję. Pocięszam się, że kiedyś stanie się przedmiotem dysertacji doktorskiej jakiegoś polonisty, to znaczy osoby, która czyta wszystko i nie odróżnia spraw według ich wagi.

Co do tak zwanego *meritum*, to opinję moją o nieżywotności kabaretu, a raczej obu kabaretów poznańskich opierałem na tem, że zasięgi ich humoru, dość zresztą anemicznego, był niezmiernie skąpy. Nie wychodził poza uszczypliwostki osobiste i zrazu umiarkowaną, a potem śmielszą pornografją. Taki „Zielony Balonik”, — dla którego nie żywią zresztą tego mistycznego uwielbienia jakim go otacza p. Puget — miał jednak swoje ciekawe momenty. Wznosił się do satyry, nie poprzestawał na kpinowaniu. Atakował nietylko ludzi, ale idee, stanowiska, dzieła, stosunki. Nie wchodził w podejrzane aljanse avec la bienfaisance mondaine. Stał go było na zachwałość. Nie miał tej kukulczej układości wobec „panujących stosunków”, która kabaretowi odbiera jedyną rację bytu. Tego feleru nie odbija się ani czterema ani stoma wierszami o brodach różnych panów.

Słowem, naciągany humor, prowincjonal-

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY PP. PRENUMERATORÓW O SZYBKE UREGULOWANIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY I WPLACENIE BIEZ. ZAZNACZAMY, ŻE KWARTAŁ I-SZY SKOŃCZYŁ SIĘ Z DNIEM 1-GO LUTEGO R. B. I OD TEJ DATY LICZY SIĘ NASTĘPNY OKRES KWARTALNY, NA KTORE WPLATY PRZYJMUJE ADMINISTRACJA „PIONU” BEZPOŚREDNIO LUB PRZEZ P. K. O. KONTO 18.590.

LISTY DO REDAKCJI

O POEZJĘ „HOESICKOWSKĄ”

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule p. Władysława Sebyły p. t. „Z nożem na lirykę” (Pion nr. 5) znalazłem kilka zwrotów dotyczących „poezji hoiesickowskiej”.

Pan Sebyła broni liryki przeciw p. Dąbrowskiemu a jednocześnie dość uszczypliwie wyraża się o „poezji hoiesickowskiej” którą następnie nazywa poezją steinsbergowską. Wydawnictwa poetyckie „steinsbergowskie”—powiada — w 70% niewiele mają wspólnego z liryką o szerszym zasięgu i w poważnym znaczeniu tego słowa.

Uważam tę ocenę za niepośpolicie pochlebną dla poezji „steinsbergowskiej” wobec faktu, że wydałem mnóstwo utworów bardzo licznego zastępu młodych poetów.

Jeżeli 30% tego co wydałem jest liryką w poważnym znaczeniu tego słowa i liryką o szerszym zasięgu, to jesteśmy chyba najzasobniejszym w tej chwili krajem na świecie w poezję.

Nie zawsze wydawałem poezję, które mnie porywały. Często wydawałem i wiersze, w których nie umiałem się dopatrzeć ani piękna ani siły ani nawet talentu.

Wydawałem je przecież dlatego, aby nie skrzywdzić talentu którego może nie rozumiem, aby nie pominąć jakiegoś poetę wielkiego choć niezrozumiałego.

Gdy przychodził do mnie jakiś młody człowiek ze zwiłkiem rękopisów z poleceniem wybitnych pisarzy, drukowałem wiersze przez szacunek dla sztuki i pietyzmu dla poezji. Nie zasługuje tedy na złośliwe uwagi, które mi obdarza p. Sebyła w swoim artykule zwłaszcza, że twórczość p. Sebyły również należy do „poezji steinsbergowskiej”.

Raczy Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Marjan Szeinsberg.

JESZCZE O ZASTOJU W BIBLIJFILSTWIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Notatki w Nrze 6 „Pionu” nie mogę pozostawić bez dodatkowego uzupełnienia. Chodzi o „zastój w biblijfilstwie, który oczywiście zaistniał i trwa, lecz przed którego hamującą mocą my biblijfile krakowscy bynajmniej nie zrezygnowaliśmy.

Przodując dotychczas innym zrzeczeniom biblijfilskim, krakowskie Towarzystwo Miłośników Książki uległo zastojowi w wydawnictwach, ale nie opuściło rąk, jeżeli chodzi o podtrzymanie życia w ogólnym zespole członków. Czwartkowe zebrania biblijfilów krakowskich trwają nadal dążąc do łagodzenia rozstrojów kryzysowych. Daleko więc jeszcze do „bezwładu” a tem bardziej do niezrozumiałości na gruncie tutejszym jakiegoś „rozprzężenia”. Ożywiam nas ciągle dobrym duchem i wiarą w lepsze biblijfilskie jutro. W te zalety uzbrojeni uczęszczamy pilnie na czwartkowe pogadanki i odczyty (było ich w ciągu ostatniego dziesięciolecia blisko 300), otrzymując do rąk piękne, artystycznie pomyslane zaproszenia, — prawdziwe perły sztuki typograficznej. Przynajmniej ta gałąź wydawnictw naszych nie upada, owszem trwa nadal i rozwija się.

W roku bieżącym odbyły się następujące odczyty, urządzone przez Towarzystwo Miłośników Książki.

11 stycznia prof. dra Waltera „O natchnieniu twórczym jako zjawisku biologicznym”.

18 stycznia K. Witkiewicza: „Książka i grafika na usługach propagandy w Z.S.R.R.”.

25 stycznia dra K. Dobrowolskiego: „Powstanie, rozwój i upadek kultury”.

8 lutego B. Raczynskiego: „Przed narodzeniem Zielonego Balonika”.

Na odczyty uczęszczają nie tylko członkowie T. M. K. ale i liczni goście z miasta i okolicy.

Przykrą rzeczą tak dla naszego jak i dla innych zrzeczeń biblijfilskich, jest upadek jedyne w Polsce czasopisma biblijfilskiego „Silva Rerum”. Powiedzmy prawdę, że nie znalazło poparcia wśród ogółu biblijfilów, mimo rzeczowej treści i starannej szaty zewnętrznej. Były słowa uznania a nawet zachwytu pod adresem wydawców, lecz prenumeratorów mało. To też pojawienie się „Biblijfila Polskiego” w Warszawie, witamy ze szczerą radością i chociaż go nie zobaczymy w witrynach księgarskich, rozsprzedano już kilka egzemplarzy. Należy bardzo o tę książkę pytać w Krakowie i długo jej szukać. Może „luzem” w swych zamięśnieniach kroczący biblijfil dyr. Jan Lorentowicz, będzie miał szczęśliwszą rękę. Życzymy mu powodzenia i przesyłamy słowa zachęty do dalszego szlachetnego wysiłku na tem polu. Czasopismo biblijfilskie jest chyba jeszcze w Polsce potrzebne.

J. Sokulski

Kraków.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

POWIEŚĆ, NOWELA:

H. Boguszewska, J. Kornacki, W. Kowalski, G. Morcinek, K. Muszałówna, Z. Nałkowska, S. Rey. Z przedmową Haliny Kraheńskiej. — Przedmieście. Rój. Serja Nowa. 1934.

Polka Gojawczyńska — Ziemia Elżbiety. Powieść. Rój. Nowa serja. 1934.

Bruno Schulz — Sklepy cynamonowe. Rój 1934.

Jim Poker — Król Gibraltaru. Powieść. Warszawa 1933. Nakładem Tygodnika „Wiarus”.

Zofja Kossak-Szczucka — Pątniczym szlakiem. Wrażenia z pielgrzymki. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Janusz Meissner — Latający djabeł. Rój. 1934.

Beverly Nichols — Przedwieczorna Pieśń. Rój. 1934. Serja nowa.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY:

Jerzy Bandrowski — Na polskiej fali. Polecona do bibliotek szkolnych przez Min. W. R. i O. P. Wydanie trzecie. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej.

Gustaw Morcinek — Gwiaździdy w studni. Powieść dla młodzieży. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Zofja Kossak-Szczucka — Szukajcie przyjaciół. Na zlocie skautów z całego świata w Gödöllö. 1934 Katowice. Nakładem „Na tropie”.

Ewa Grodecka — Tropem zastępu „Zorawi”. Nakładem „Na tropie”. Katowice 1933.

HISTORIA LITERATURY, KRYTYKA:

Samuel Kleiner — Cyganeria i cyganowanie. (Próba charakterystyki i definicji). Odbitka z „Pamiętnika Literackiego”.

Stanisław Blaszczyk — Staropolski przekład „Sylwji” Maireta. Poznań 1933.

Ludwik Łakomy — Piśmiennictwo śląskie przed założeniem Akademii Krakowskiej. Druk Księgarni i Drukarni Katolickiej Sp. Akc. w Katowicach.

S. J. Imber — Pieśń i dusza Oskara Wilde’a. Z przedmową Romana Dyboskiego. Warszawa 1934. Kraków. Gebethner i Wolff.

RELIGJA:

Ks. Bronisław Gładysz — Hymny Brestwarza Rzymskiego oraz Patronatu Polskiego. Przekład i objaśnienia. Nakład Księgarni św. Wojciecha. 1933 r.

FILOZOFIA, PSYCHOLOGJA:

Benedykt Bornstein — Architektonika świata. Tom X. Prolegomena do architektiki świata. Warszawa. Skład główny Gebethner i Wolff. 1934.

POLITYKA, SPRAWY SPOŁECZNE:

Franklin D. Roosevelt, Prezydent Stanów Zjednoczonych — Spojzrenie w przyszłość. Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa.

Dr. Kraus Mehnert — Moralność i kultura w Rosji Sow. 1934. Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa.

Edgar A. Mowrer — Niemcy cofają wskazówki zegara. Kraków. 1934. Wydawnictwo „Problemy”.

Dr. Adam Jarzyna — Polityka emigracyjna. Biblioteka Pol. Tow. Ekonom. we Lwowie. Tom III. Lwów 1933.

Antoni Sobański — Cywil w Berlinie. Rój. 1934.

PAMIĘTNIKI:

Marja Janowa Kasprończowa — Harenda. V. Warszawa 1934.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T. „KURJER KSIĘGARSKI”.

HISTORJA:

Janina Jakubianiec-Czarkowska — Powstanie 1863 roku w powiecie Święciańskim. Święciany 1934. Nakładem święciańskiego oddziału Pol. Tow. Krajoznaw.

PEDAGOGIKA:

F. Kieffer — Autorytet w wychowaniu domowym i szkolnym. Przekład autoryzowany K. Bobrowskiej. Nakład Księgarni św. Wojciecha.



FR. PULS S.A. WARSZAWA

M. ARCTA SŁOWNIK RZECZY I SPRAW POLSKICH

opracowała Zofja de Bondy

Jest to jakgdyby historia kultury polskiej, ujęta w formę słownika o krótkich, zwartych objaśnieniach. Układ alfabetyczny, uwzględniający niezbędne szczegóły z następujących dziedzin:

- Ważniejsze fakty, wydarzenia, miejscowości historyczne.
- Podział administracyjny dawnej Polski.
- Zycie kulturalne, prawa, obyczaje, stroje, uzbrojenie.
- Zajęcia ludności, urzędy, tytuły, warstwy społeczne.
- Organizacje, stowarzyszenia, związki.
- Zycie religijne i sztuka.
- Stosunki z zagranicą, wojny i rokoszki.

CENA W BROSZ. ZŁ. 14.—; W SZTYWNEJ OPRAWIE ZŁ. 18.—

WYDAWNICTWO M. ARCTA

W W A R S Z A W I E, NOWY ŚWIAT 35, P. K. O. 196.

Taniej!
Wcześniej!
W domu!

NAJTAŃSZYM W PRENUMERACIE
wielkim dziennikiem stołecznym jest
„Express Poranny”

Codziennie 8 — 10 — 12 wielkich stronic ciekawych, barwnych, żywo ujętych artykułów, opisów, feljetonów, informacji i wszechświatowych wiadomości.

Liczne jedno i wielobarwne ilustracje.

PRENUMERATA MIESIĘCZNA Z ODNO SZNIENIEM DO DOMU LUB PRZESYŁKĄ P O C Z T O W ą

tylko **3 zł. 60 gr.**

12 groszy dziennie zamiast **20**-tu

Prenumeratę zamawiać można telefonicznie od każdego dnia w miesiącu

Na prowincję egzemplarze okazowe wysyła się bezpłatnie na każde żądanie

Adresy kantorów „Expressu Porannego”. Warszawa, Jasna 10 lub Marszałkowska 3 tel: 8-02-40 i 693-72

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Święcicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10